

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 22 luty 1948 r.

Nr 8 (129)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

EWA KORZENIEWSKA

Długa i piękna droga twórczości.



Zofia Nałkowska

MÓWIĄC o tak bogatej i rozległej w czasie twórczości jak twórczość Nałkowskiej nie podobna pominąć milczeniem pewnej nieco drażliwej sprawy z zakresu współczesnej krytyki literackiej. Od dwóch lat trwająca w czasopiśmie polemika w sprawie realizmu, częste uzasadnianie wartości tej techniki pisarskiej sprawiły, że słowo realizm nabrało znaczenia wartościującego. Powiedzieć o pisarzu, że jest realistą — to znaczy go pochwalić, natomiast określenie jego twórczości innym terminem wywołuje wrażenie, że się go ocenia ujemnie, a nawet wyłącza z grona pisarzy twórczych w obecnej rzeczywistości. Pogląd taki wydaje się nie słuszny, po pierwsze dlatego, że właściwie jak dotąd kończymy na postulatach, a twórczość idzie własnymi drogami i często wymaga innych kryteriów, a po drugie, że jest to stanowisko ahisteryczne. Możemy żądać realizmu od utworów nam współczesnych, ale stwierdzenie w odniesieniu do dzieł nawet niedalekiej przeszłości, że nie są realistyczne, nie powinno stanowić jakiegokolwiek oceny. Jest tylko charakterystyką, wynikającą z zestawienia danego dzieła z utworami o innym charakterze. Może być próbą wydobycia pewnych właściwości różnych technik i stylów. Pisarz, który żyje w okresie wielu zasadniczych przeobrażeń społecznych i politycznych, który żywo odczuwa i wchłania atmosferę różnych prądów literackich — o ile jest prawdziwym pisarzem — musi dawać temu wyraz w swej twórczości. Dzieła jego będą więc reprezentatywne dla różnych prądów i stylów.

Bogata i długa twórczość Zofii Nałkowskiej jest pod tym względem niezmiernie charakterystyczna. Autorka „Medallionów” i „Lodowych Pól”, jest pisarzem o wyjątkowej wrażliwości artystycznej i kulturze literackiej. To też może wyraźniej niż u innych pisarzy widać w jej utworach wpływy pewnych prądów, czy nawet krótkotrwałych tendencji w dziedzinie literatury. Niemal każda nowa powieść jest przewyższeniem czegoś, jest nowym etapem w rozwoju talentu a często i osiągnięciem niespodziewanych dla czytelnika celów artystycznych. Twórczość Nałkowskiej — trzeba to z góry zastrzec — napewno nie mieści się w ramach tego, co określamy mianem realizmu. Ale nie mieścić się to z pewnością nie znaczy niedorastać. Nałkowska jest pisarką o tak wyraźnej i bogatej indywidualności twórczej i pisze w tak długim okresie czasu, że nie można bez skrępowań włączać jej całej działalności pisarskiej do takiego lub innego prądu. Bogactwo i rozpiętość jej koncepcji artystycznych i filozoficznych, jej metod twórczych i techniki jest ogromne, że trudno nawet znaleźć jakieś właściwości wspólne jej pierwszym i obecnie wydanym utworom. Nie świadczy to oczywiście o braku określonej indywidualności twórczej — raczej przeciwnie o wielkiej rozpiętości i skomplikowaniu psychiki i nieustającej młodości, dla której każdy krok jest zawsze krokiem na przód.

Właściwie cechą pozornie mało istotną, która w jakiś sposób jednoczy powieści Nałkowskiej różnych okresów, jest forma pamiętnika. Ten, zdawałoby się, konwencjonalny sposób przedstawiania stanowi najbardziej charakterystyczną właściwość techniki pisarskiej autorki „Medallionów”. Wyznacza jej szereg do opisywanych wydarzeń a nawet ustala pewne ogólne ramy problematyki. Podlega jednak również bardzo istotnym zmianom. Pierwsze powieści

„Lodowe Pola”, „Książę” mieszczą się w formie tradycyjnego „Pamiętnika Wacławy”. Bohaterka, młoda osoba opisuje siebie, swoje przeżycia i wrażenia, ustala swój stosunek do świata i ludzi bliskich. Wprawdzie, żadna z nich nie jest krewną Wacławą Orzeszkowej, bo kształcona na Przybyszewskim i modernizmie ma zupełnie inne „ideały” życiowe, inne kryteria wartości i chętnie zezwala na panoszenie się „nagiej duszy”, niepodległej ogólnie obowiązującym normom społecznym. Te obce nam dzisiaj „fin de siècle” wyznają kult ciała jako najdoskonalszej formy piękna, lubują się sobą i swymi efektownymi przeżyciami. Głoszą hasła bezużyteczności sztuki, są całe przesiąknięte problematyką dekadentów salonów przełomu XIX i XX wieku. Sprawy konspiracyjne, walka o socjalizm zarysowane w „Książcu” pociągają je jako coś tajemniczego i groźnego, jako jeden z interesujących przejawów nieznanego życia. Tak jeszcze Izabella z „Lalki” patrzyła na robotników fascynujących ją swą siłą i groźbą, czającą się w ostrym, wrogim spojrzeniu. Są od Izabelli o tyle „nowocześniejsze”, że pociągają je miłość do mężczyzny wmięszanych w te sprawy, mężczyzn silnych, zdecydowanych na śmierć. Wyrażają się stylem pełnym „zawrotnych” metafor, unikają prostoty i bezpośredniości, stylizują życie i słowa według reguł ówczesnej sztuki. Konwencjonalna forma pamiętnika odpowiada im najbardziej. Mogą nie krepnąć się żadnymi ograniczeniami opowiadać o sobie i pokazywać życie zdefiniowane w ich chorobliwej apercepcji. Nałkowska — młodzieńca wówczas pisarka, poddając się silnym wpływom ówczesnej mody literackiej, osiągnęła jeden niewątpliwie sukces — uzgodniła najwłaściwiej „treść” i wyraz swych ówczesnych utworów. Wybierając formę pamiętnika wybrała kształt literacki najbardziej odpowiedni dla ekshibicjonistycznych tendencji tamtej epoki.

Inny, ciekawszy rodzaj pamiętnika reprezentują utwory takie, jak „Choucas” i „Dom nad Łąkami”. Autorka daje im formę własnych wspomnień o życiu i ludziach. O sobie mówi niewiele tylko czasem i bardzo dyskretnie zaznaczając, że jest pośród świata, który opisuje, że przeżywa coś swego

własnego, co jednak już wykracza poza właściwą treść opowiadania. W „Domu nad Łąkami”, forma ta nabiera precyzyjnej doskonałości. Wydarzenia są opisywane przez dojrzałego człowieka, który pokazuje świat widziany oczami dziecka. Cała rzeczywistość jest więc niejako przepuszczona przez dwa filtry — widzenie dziewczynki i dojrzałego pisarza. Wytwarza to nastrój o specyficznym wdzięku złożony z subtelnych efektów uczuciowych. Naiwność i urok dziecięcego widzenia świata harmonizuje z krytycznym, ale silnie zabarwionym emocjonalnie stosunkiem autorki do tamtego nieistniejącego już życia. Błahe wydarzenia nieomal „ploki” o sąsiadach zyskują wyrazistość i prawdę spraw istotnie przeżytych. Forma pamiętnika i w tym wypadku okazuje się wybrana najtrafniej, gdyż wydobyla nowe i niespodziewane wartości z wydarzeń drobnych i pozornie mało ciekawych. Artyzm pisarski osiąga tu już wyżyny surowej prostoty i wyrazistości wydobycy najskromniejszymi środkami.

Powieści „Niedobra miłość”, „Granica” wprowadzają narratorkę, która podaje własne wspomnienia i komentarze wyniki. Są więc też czymś w rodzaju pamiętnika, mimo, że wyrastając z ducha konstruktywizmu odbiegają daleko od tradycyjnych wymagań formy pamiętnikarskiej. Zrywają z konwencjonalnym układem chronologicznym, nie pokazują postaci opowiadającego, obiektywizują wydarzenia bez wyznaczenia stosunku uczuciowego narratorki. W słowach postaci opowiadającej odbija się tylko refleksja. Narrator usiłuje wyjaśnić sobie i innym jak sprawy wyglądają naprawdę („Granica”) — lub też daje przykład ilustrujący pewną koncepcję życia. Tak w „Niedobrej Miłości” cała powieść rodzi się z zagadnienia czy charakter człowieka jest wartością stałą i niezmienną. Narrator przypuszcza, że „świat wyznacza charakter człowieka, że w stosunku do każdego człowieka stajemy się, jesteśmy kim innym w jednej i tej samej godzinie”. Dramatyczne dzieje Blizborów i Renaty są właśnie świadectwem tej prawdy. Mają pokazać, jak nowe okoliczności zmieniają i kształtują człowieka wbrew wszelkim przewidywaniom i wbrew jego dotychczasowemu usposobieniu.

... W REWOLUCJI TRZEBA BYĆ REWOLUCJONISTĄ I KTO NIM NIE JEST — UPADA

Adam Mickiewicz

TREŚĆ NUMERU:

- EWA KORZENIEWSKA —
DŁUGA I PIĘKNA DROGA
TWÓRCZOŚCI
- STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
SPÓR PO REKOLEKCJACH
- SEWERYN POLLAK —
FABRYKA, DOM KULTURY, CER-
KIEW
- TADEUSZ JULIUSZ KRONSKI —
HENRI LEFEBVRE I RENESANS
LEWICY FRANCUSKIEJ
- STEFAN OTWINOWSKI —
PIERWSZY ETAP
- ALEKSANDER WAT —
WIERSZE
- KANDYD —
PIĘDZIESIĘCIOLECIE
„J'ACCUSE”
- RYSZARD MATUSZEWSKI —
„OPOWIADANIA PRZEWROTNE”
ZUKROWSKIEGO
- ADOLF SOWIŃSKI —
AKADEMICKA POWIEŚĆ
O KOPERNIKU
- MARIA JANION —
O MONOGRAFIE POWIĘSI JEZA
- WANDA GRODZIENSKA —
PRZEKLADY POWIĘSI DLA
MŁODZIEŻY
- TADEUSZ KUBIK —
TYDZIEŃ POLITYCZNY
- KRONIKA KADZIECKA
- JERZY POMIANOWSKI —
PRAWA CZASU I SPRAWY
CHWILI
- KAJETAN KOTOWICZ —
FELIETON GOSPODARCZY
- PRZEGLĄD PRASY
- KORRESPONDENCJA
- NOTY

W „Domu nad Łąkami” w „Choucas” forma pamiętnika otwierała przed autorką możliwości uczuciowego stosunku do opisywanego życia. Tutaj staje się najbardziej celowym środkiem jego filozoficznej interpretacji. Ułatwia podanie pewnych sprzeczowanych też, usprawiedliwia wyciąganie wniosków z opisywanych wydarzeń. Posiada więc i tu zupełnie wyraźną funkcję artystyczną — jest jeszcze jedną ciekawą próbą nagięcia formy do nowych treści.

Czy jednak forma ta nie ogranicza możliwości pisarskich, czy nie zwięża świata do kąta widzenia opowiadającego, czy nie pozbawia autora prawa do „wszechwiedzy” o życiu i ludziach? Można by sądzić, że całe rozległe dziedziny problematyki społecznej i politycznej pozostaną poza zasięgiem możliwości pisarskich, że zatrzymamy się w granicach raczej twórczości „kamaralnej”, operującej niewielką ilością osób i skromną problematyką konfliktów osobistych.

Niebezpieczeństwo z pewnością jest bardzo poważne. Forma ta niewątpliwie ogranicza pisarza, ale równocześnie, podobnie jak trzy dziedziny klasyczne, podobnie jak każda ostra reguła, jest surowym sprawdzianem talentu. Nie da się oszukać ni cbejść. Albo napelni się żywą treścią i zogniskuje bogatą problematykę, albo wyda utwór konwencjonalny i niezwyły już w chwili powstania. Właśnie na tym polega wielkość „klasyków”, że ograniczająca swobodę twórczą, forma była dla nich najbardziej przydatnym z środków wyrazu. W tym rozumieniu Nałkowska przynajmniej w niektórych swoich utworach jest klasykiem.

Taka dojrzałość artystyczna cechuje przede wszystkim „Granice” powieści, która łączy bogactwo problematyki z wyrazistością zarysowanym tłem społecznym i precyznością formy. „Granica” nasuwa całkiem niespodziewane refleksje — a mianowicie, że większość zarzutów przeciw konstruktywizmowi winno godzić raczej w pewien rodzaj powieści i ich autorów niż w zasadnicze postulaty tego kierunku sztuki. Nałkowska bowiem przekonywuje artystem i wyrazistością swej książki, że słuszne jest prawo autora do całkowitej swobody w organizowaniu przedstawiane-

* Zofia Nałkowska — Medalliony, „Czytelnik”, „Niedobra Miłość”, Spół. Wyd. Wiedza 1946, „Niedobry Piłki”, Spół. Wyd. Wiedza 1946, „Dom nad Łąkami” Państw. Inst. Wyd. Warszawa, „Romans Teresy Henbert”, Książka,

go życia, o ile tylko taka zbyt „widoczna” konstrukcja dobrze służy celowi sugestywnego wyrazu. W „Granicy” skomplikowane konstrukcyjne potęgę dramaturgii akcji, pozwala na pokazanie tych samych zjawisk z wielu różnych stanowisk, podkreśla wyrazistość problematyki. Dominująca cecha twórczości Nałkowskiej, jaką jest realizm w ujmowaniu życia i rozpatrywaniu każdej sprawy z różnych punktów widzenia była bardzo trudna do ukształtowania literackiego. We wczesnym okresie twórczości autorka znajdowała dla swego światopoglądu i wątpliwości wyraz najłatwiejszy, budowała postacie pełne zastrzeżeń wobec świata, zagubione we własnych komplikacjach psychicznych, niepełne nawet własnego sceptycyzmu. Było to zgodne z ówczesnym duchem psychologizmu i jakoś oddawało pełen niepokój sto-

sunek autorki do świata. Właściwy kształt dla krytycyzmu tego rodzaju znalazła Nałkowska w „Niedobrej Miłości” i „Granicy”, wychodząc równocześnie daleko poza psychologizm. Do jej dość w pierwszym stadium ekskluzywny twórczości wdarło się prawdziwe życie, szczerze namiętności i głębokie problemy. Pozostał tylko wątpliwy i krytyczny stosunek do prawd ogólnie przyjętych, do utartych i łatwo dających się podważyć twierdzeń o życiu i ludziach. Pozostały wątpliwości niepokojące każdego szlachetnego człowieka, które zawsze dotyczyły i dotyczą prawa człowieka do własnego szczęścia i jego obowiązków wobec innych. Ocenie subiektywnej zaczęła się przeciwstawiać najpierw ocena moralna, a później społeczna. Te narastające warstwy problemów musiały znaleźć i znalazły odbicie w twórczości Nałkowskiej.

Najpełniejszy wyraz dała im autorka właśnie w „Granicy”. Chodziło tu o ustalenie granicy praw człowieka wobec innych ludzi o poczucie odpowiedzialności nie tylko wewnątrz, lecz i społecznej za każdy czyn. Każdy czyn bowiem w interpretacji autorki jest czymś co niejako istnieje poza człowiekiem, kształtując rzeczywistość i dlatego nie można go niczym odróżnić. Zenona Ziembiewicz nie usprawiedliwia nic, ani faktu, że wielu ludzi postępuje tak samo, ani jego późniejsza dobroć i troskliwość wobec Justyny. Jego lekkomyślny postęp determinuje niezależnie od woli otaczających go ludzi, wszystkie późniejsze wydarzenia. Autorka rozszerza tu granicę odpowiedzialności daleko poza sferę sumienia, mierząc ją kryteriami społecznymi. Podobnie wielostronne oświetlenie znajduje w „Granicy” i drugie ważne

zagadnienie, usiłujące wniknąć w prawdę o człowieku. Czy człowiek jest taki, jak sam siebie widzi „od wewnątrz”, czy też jest właśnie takim, jakim widzi go otoczenie? Nałkowska na przestrzeni całej książki zestawia dwa rodzaje opinii — jedną wewnętrzną ocenę Zenona, który zna pobudki swego postępowania i drugą zewnętrzną, tworzoną przez otoczenie na podstawie znajomości czynów Ziembiewicza. I tu znowu kryteria społeczne okazują się bardziej przekonujące. „To, czym jesteśmy dla ludzi jest ważniejsze niż to, czym jesteśmy we własnych oczach”. W ten sposób Nałkowska przewyższa najpełniejszą egocentryzm i indywidualizm modernizmu. Dochodzi do tego drogą jedynie właściwą dla pisarza, nadając własnym refleksjom i wątpliwościom formy obrazowego przedstawienia życia.

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

SPÓR PO REKOLEKCJACH

„Ależ bij treflem!” pamiętamy tę kapitalną scenę z „Szyfówkach prac”, gdy kazanie rekolekcyjne przerywa zachwala smarkacz, grający w stukółkę w ostatnich ławkach sali szkolnej.

Ojciec Aleksander ZZLP zebrał grzesznych krytyków na rekolekcje*). Jak widać z cytowanej powieści Żeromskiego — rekolekcje w naszej tradycji literackiej nie prowadzą do skruchy.

I ja nie jestem skruszony. Nie przekonał mnie czcigodny Ojciec. Ale oczywiście to nie ja rzuciłem w karciecia w czasie kazania (to rzecz jasna — Kott!) — ja słuchałem uważnie.

I będę się sprzeczał!

Bo proszę, czego chce Aleksander Wat?

Dostrzegam dwie zasadnicze tezy należące do przeprowadzonego przez cały, długi, pełen myśli i dygresji wywód:

1) „nie należy delfinów zamykać do klatek”. Zbędna jest interwencja ideologiczna w życiu literackim.

2) sens literatury nie polega na uczestnictwie, na współtworzeniu określonych pozaliterackich faktów i sytuacji społecznych, nie polega na walce, działalności wychowawczej, przeciwstawianiu polityki słusznej polityce złej, ale na zadumie nad wpływającym czasem, na refleksyjnym chwytaniu obrazu mijającego życia, na odkrywaniu sensu, który objawia się w skrajach i szumie tego jedynego w swoim rodzaju potoku, potoku spraw, zdarzeń, ludzi, namiętności.

Tezy są sformułowane tendencji artykułu, uwikłane w wiele rozważań imponujących swoją rozległością, znajomością sztuki i aktualnego życia literackiego. Tezy te przepłatają zastrzeżenia uderzające nie raz trafne, zastrzeżenia najlepiej świadczące o sumieniu intelektualnym autora, o jego upartym przewyżnianiu wszelkich uproszczeń, wszelkiego mętu słownego i myślowego.

Ale te tezy naczelnie nie są słuszne.

Jeden z organizatorów akademii ku czci walczącego narodu greckiego spytał mnie niedawno czy są jakieś nowe wiersze polskie poświęcone sprawie greckiej. Byłem szczęśliwy, że mogłem z łatwością, zacytować mu ex abrupto nazwiska kilku autorów, którzy na ten temat pisali.

Byłem szczęśliwy, gdy innym razem ustalając program festiwalu na Zjazd Samopomocy Chłopskiej mogłem wskazać długi szereg utworów pisarzy z prawdziwego zdarzenia, utworów trwale należących do zasobu naszej narodowej kultury, a całkowicie odpowiadających społecznej potrzebie takiej chłopskiej uroczystości, uroczystości także i przede wszystkim politycznej.

Obserwuję dobrze i uważnie młodych pisarzy. Ich praca i ich rozwój literacki ma wyraźny kierunek, chociaż ich osiągnięcia są jeszcze niedoskonałe. Poczytajcie, sprawdźcie. Ich pisarstwo rozwija się właśnie w tym kierunku, który wskazywał od trzech lat także krytyka ideologiczna i praktyka „Kuźnicy”, pozbywają się matu, staroświeckiej awangardy niemal z dnia na dzień.

Dotyczy to nie tylko młodych pisarzy, dotyczy także dojrzałych. Proszę przyjrzeć się ewolucji Brandysa od „Drewnianego konia”, przez „Miasto niepokonane” do „Samsona”. I niech mi tu ktoś powie, że to nie jest także rezultat intensywnego chłonięcia sugestii krytyki ideologicznej. Że ten odwrót od introspekcji, to nawiązanie do prozy fabularnej, tworzącej postaci po-

wieściowe w klasycznym sensie, prozy politycznej, socjologicznie konstruującej losy ludzi — jest dziełem przypadku, fantazją utalentowanego delfina.

To oderwane fakty, ale można je mnożyć dowolnie. Świadczą one, że interwencja ideologiczna w życiu literackim skutkuje. Część naszych krytyków zrobiła i robi dobrą robotę. Popielniają jeszcze sporo błędów. Ale nasze dyskusje, także cenny głos Wata dowodzi, że czujemy nad tą działalnością, że ją kontrolujemy i twierdzą, że ją stale, powoli ulepszymy.

Wyraźnie walczymy z groźną wulgaryzacją, wyraźnie walczymy z mdłym eklektyzmem.

Ojciec Aleksander ZZLP przeciągnął o górkami tyłu niesfornych, że już to samo jest dowodem, iż nie wybaczymy błędów krytykom.

Twierdzeniu Wata o zbędności interwencji ideologicznej w literaturze przeczy nie tylko jakże jeszcze skromne doświadczenia naszych trzech lat! Przeczy mu także historia literatury. Zna ona dobrze rezultaty, błogosławione rezultaty działalności ideologicznej krytyków, która poważnie i dodatnio zaważyła na kierunku i charakterze twórczości nawet wielkich pisarzy. Herder, Mochnacki, Herzen, Lenin w stosunku choćby do Gorkiego!

Filozofia literatury Aleksandra Wata także mnie nie przekonała. „Że to literatura winna się pochylić, zamyslić nad mijającym strumieniem zdarzeń”. Wczytajcie się w argumenty Wata. Ależ on zakłada wszystkie dziś ostro krytykowane przez metodologię humanistyki błędy filozofii kultury sprzed 50—40 lat, z czasów reakcji antypozytywistycznej, młodego Dilthey’a i bliskiej mu plejady myślicieli. Przecież to, co Wat uważa za istotę literatury, wywodzi on z refleksji nad tradycją literacką, pojmowaną jako zupełnie autonomiczny szereg kulturowy. A tak nie jest. Nie ma tej autonomii. To są fakty dziś dostatecznie uzasadnione w nauce. Czytajcie nowoczesnych językoznawców interpretujących literaturę. Czytajcie fonologów, jeśli nie wierzyć marksistom. Zobaczycie, że do prawd tych doszła i uczeiwa mieszczańska nauka, gdy oderwała się od apriorycznych, idealistycznych założeń, a pozwoliła krzyknąć wielkim głosem faktom gromadczym od lat, pozwoliła mówić samym za siebie zbiorom dokumentów, nagim, bez idealistycznej interpretacji. Jeśli nie będziemy szukać „wewnętrznych” sensu literatury w ogóle, jej strukturalnego sensu jako autonomicznego szeregu, jeśli spojrzymy na nią jako na fakt społeczny i historyczny, to łatwo przekonamy się, iż o właściwym zadaniu literatury decyduje dany, historyczny twórca ruch masowy, który w swojej epoce jest źródłem wartości, wszelkich wartości, a nigdy wewnętrzna logika, struktura jakiegokolwiek autonomicznego szeregu kulturowego i jego rzekome prawidłowości formalne.

Każdy, kto zna ideologie współczesnych ruchów ludowych wie, że nie powołują one do życia literatury kontemplacyjnej, ale walcząca. I na to nie ma rady. I to jest dobre, mądre, słuszne, artystycznie twórcze i nowatorskie. Nie będę tego szerzej dowodził. Robiłem to nieraz. Po prostu nie przekonał mnie surowy kaznodzieja Ojciec Aleksander ZZLP.

A teraz jeszcze w sprawie kłopotów, że tak powiem, semantycznych A. Wata. Wat twierdzi, iż pojęcia, którymi posługuje się krytyka ideologiczna jak np. romantyzm, realizm są mętne, niejasne, ba! wręcz bałamutne. Mój Boże, Wat trochę tu przypomina psotnika, który spróbował zobaczyć co jest w środku zegarka. Rozebrał go, rozrzucił kółka, śrubki i sprężynki. I teraz

patrzy zrozpaczony na małą kępę metalowego śmiecia. Nie ma zegarka, i niczego się nie dowiedział.

Wat, brutalne i jasne pojęcia — postulaty krytyki ideologicznej, raczej zawołania bojowe, o ubogiej funkcji wyjaśniającej, ale budzące pożądane emocje i skojarzenia potraktował jak pojęcia bez dna abstrakcyjnej treści.

Rozumiem dobrze pobudki Wata. Kierowała nim uczciwość intelektualna. Ale tutaj tak się stało, że ta uczciwość kazała mu popełnić występki; może nie występki — ale wykroczenie przeciw regułom gry. Wat przyjął samowolnie, iż bieżąca krytyka ideologiczna posługuje się pojęciami historii literatury. Skonfrontował treść i zakres pojęcia romantyzmu czy realizmu, używanego w naszych artykułach z treścią i zakresem pojęcia romantyzmu czy realizmu używanego przez historyków. Stwierdził oczywiście, że te zakresy i treści nie pokrywają się. Bardzo go to zmartwiło. Ostrzegł surowo lekkomyślnych ideologów.

Ojciec Aleksander ZZLP, przecież myśły o tym dobrze od początku wiedzieli!

Nasze pojęcia nie miały być pojęciami historyków. To Ojciec nadużył nas zakładając swoje — wbrew naszym wyraźnym oświadczeniom. Ulatwił sobie Ojciec polemikę.

My mówiąc o romantyzmie jako postulacie dzisiejszej literatury celowo ograniczyliśmy treść tego pojęcia. Tak ją ograniczyliśmy jak to nam było potrzebne. Braliśmy z historycznego romantyzmu to co nam ideowo odpowiadało. Oczywiście pojęcie romantyzmu historycznego jest tak bogate i tak musi odbijać specyficzności wewnętrzne kultury kapitalistycznej początków XIX w., że do jakiegokolwiek postulowania nie nadaje się. Toteż nikt z nas pisząc „realizm” nie myślał o „skomplikowanej, pełnej sprzeczności treści rzeczywistego realizmu np. Tolstoja. Realizm to było nasze hasło — treść jego brała z przeszłości tylko wybrane elementy. Tak zawsze postępuje krytyka ideologiczna. I osiąga rezultaty. Przybyszewski mówił swoim: „Sztuka to absolut”. — Słowo „absolut” nic w istocie nie znaczy. A przecież było hasłem ideowego porozumienia, budziło, zapładniało wówczas pisarzy. Oczywiście było hasłem reakcyjnych pisarzy i krytyków. Ale to już inna sprawa.

Nasze hasła są racjonalne, mają treść i zakres uchwytne. Ale od początku nie były konstytuowane na wzór pojęć poznawczych historii, jako pojęcia postulatywne krytyki legitymującej swoją poprawność inaczej niż pojęcia historyczne.

Toteż troski semantyczne Wata są pienne.

To nie, że w romantyzmie historycznym mieliśmy i to coś zupełnie przeciwnego. My w nasze hasło romantyczności w literaturze czy realistycznego stylu wkładamy treść zupełnie wyraźną. Określamy ją w długich wywodach. I tylko trzeba ocenić czy jest ona ideologicznie w porządku. Bo pisarze nas rozumieją. Tu nie ma na ogół groźnych ekwiwokacji. Jak ktoś bardzo udaje głupiego — to najczęściej jest politycznie przeciwny. (Prawda Kisielu?). I jak mogę sądzić np. trzyletnia kampania o realizm daje raczej dobre rezultaty — jak to szczegółowiej uzasadniałem w moim refracie na Zjeździe Wrocławskim ZZLP.

Niepoprawni krytycy i ideologowie życia literackiego wyjdą z Twoich rekolekcji nie skruszeni. Ojciec Aleksander. Nie było bowiem w Twoich słowach „ducha Bożego”, który teraz jest „w bluzach ludu”. Jak kiedyś komuś podobnie powiedział gwałtowny poeta, poeta jasnowidzący...

Stefan Żółkiewski

*) Por artykuł Aleksandra Wata „Antyzoł albo rekolekcje na zakończenie roku”, „Kuźnica” Nr 6, 1942.

niepokojenia i pewnej grozy. Spóśb ujęcia podobny do techniki powieści kryminalnych tu posłużył autorce do zainteresowania czytelnika sprawami naprawdę istotnymi, dotyczącymi „granic” praw człowieka. Narrator rozpoczynający opowieść od tragicznego zgonu Ziembiewicza co pewien czas daje o sobie znać, wyraża swe opinie, pomaga zrozumieć właściwy sens wydarzeń. Odgrywa rolę podobną do chóru w tragedii klasycznej, który interpretuje i ocenia wypadki. Jest zresztą równie dyskretny, gdyż pozwala na wyciągnięcie własnych wniosków. Materiału na to powieść dostarcza bardzo wiele, a cała przedstawiona rzeczywistość uzyskuje dzięki wprowadzeniu postaci opowiadającej wyraźne ramy kompozycyjne i wyraźny kształt artystyczny. W takim „poddawaniu się” panującym prądom leży właściwie zwycięstwo pisarki, która z całą świadomością artystyczną wybiera z nich to, co najlepiej służy jej własnemu celom.

W „Medalionach” Nałkowska nawraca do opowiadania od siebie, podobnie jak „W domu nad łakami”. Wziętą jest nawet wyraźnie zaznaczona, gdyż przy okazji pięknego opisu przyrody w opowiadaniu „Kobieta cementarna”, autorka wspomina „dom dzieciństwa, przy którym podobnie wołała zielona wilga”. Ta liryczna dygresja jest tu jakimś akcentem wysoce dramatycznym, bo silnie kontrastuje z całą atmosferą grozy wojny i okrucieństwa. Posługując się znowu pozornie tą samą formą Nałkowska wyszukuje ją dla jeszcze innych celów. Wspomnieniem nadaje charakter noweli - reportażu. Z szacunku dla powagi i grozy wydarzeń pojawia się tu i tam jakiś niemały naukowy wiarogłębki faktów. Wyczuwa się, że autorka opisuje tylko to, co naprawdę widziała, że podaje cudze słowa nie zmieniając ani jednego wyrazu, że celowo ogranicza swe możliwości artystyczne, aby nie uchybić w żadnej mierze prawdzie i grozie życia. Siebie usuwa jak najbardziej w cień, odgrywając rolę pośrednika, który nie komentuje wydarzeń i powstrzymuje się od jakichkolwiek rozważań, bo cóż można powiedzieć ponad to, co mówią fakty. Ta niezwykle tru-

dna zwłaszcza dla pisarza o typie refleksyjnym dyskretna odsłania nową właściwość talentu Nałkowskiej — umiejętność pokazania życia bez widocznej interwencji pisarskiej. Artyzm Nałkowskiej przejawia się tylko w niezwykle trafnym układzie faktów. Sprawozdawczo wierne opowiadanie o zeznaniach młodego pracownika w Instytucie Anatomicznym kończy się jego naiwno - straszliwymi słowami — „W Niemczech, można powiedzieć, ludzie umieją coś zrobić z niczego...”. Te wyrazy uznania dla Niemców, przerabiających tłuszcz ludzki na mydło, stanowią bardzo silną dramatycznie pointę całego rozdziału, są kłamrą zamykającą fragment i równocześnie rzucają ostre światło na całą pracę instytutu i charakter młodego człowieka. Jesteśmy tu daleko od jakiegokolwiek sztucznej stylizacji — tak silnie może przemawiać jedynie prawda, podana w sposób jak najprostszy. Wszystkie opowiadania tego tomu cechuje sugestywna siła wyrazu, osłagana, może po raz pierwszy w twórczości Nałkowskiej bez pomocy komentarza. Właściwie tylko jeden rozdział „Dorośli i dzieci” posiada inny charakter — jest rodzajem rozprawki, w której autorka zastanawia się nad celem i sensem postępowania Niemców. Niezwykle trafne spostrzeżenia autorki posiadają wyjątkową wartość stwierdzeń naukowych. — „Przy zapoznawaniu się z niezwykle zjawiskiem Oświecimia — zarówno na zasadzie materiału, który przyniosły zeznania świadków, jako też przy nauce oglądanych dzieł sztuki — uderza fakt bardzo celowego przystosowania systemu i urządzeń tego obozu do zadania mającego charakter dwójaki: polityczny i ekonomiczny, można by rzec idealny i praktyczny. Zadaniem politycznym było uwolnienie pewnych terenów od ich mieszkańców, by terenami tymi wraz z ich naturalnym i kulturalnym bogactwem niepodzielnie zawiadnąć. Zadaniem ekonomicznym było, aby przeprowadzenie tego zamierzenia nie tylko nie przyniosło uszczerbku, nie spowodowało żadnych kosztów, ale na odwrót: aby stało się źródłem, z którego można ciągnąć zyski...” Rozważania te sięgające głęboko w istot-

ne przyczyny terroru okupacyjnego stanowią jakby syntezę i wyjaśnienie poprzednich opowiadań, w których autorka nagromadziła dosyć materiału, usprawiedliwiającego takie wnioski. Nałkowska po raz pierwszy w swej twórczości wyszła od faktów zamykając uogólnienia w ostatnim, oddzielnym rozdziale swej książki. W poprzednich utworach opisywane życie było dowodem popierającym tezy z góry przyjęte, lub też stanowiło ilustrację pewnych przekonań. Dlatego można by zaryzykować twierdzenie, że dopiero w „Medalionach” autorka zastosowała pełną technikę realistyczną, która żywi największy szacunek dla faktów i układa je bez z góry powziętych tez, zgodnie z istniejącym porządkiem rzeczy. Do tej metody pisarskiej Nałkowska dochodzi jakby wbrew swoim dawniejszym upodobaniom i skłonnościom. W pierwszych powieściach świadomie stylizowała postacie i język utworów. Taka forma sztuki była, zgodnie z ówczesnymi przekonaniami właściwą sztuką. Nie unikała zresztą trudności, gdyż wymagała od pisarza dużej kultury literackiej i wyrzeczenia się bezpośredniego przeżywania świata na korzyść przeżywania „literackiego”. Rzeczy najprostsze transponowała w jakiejś innej wymiarze, zmieniając normalne stosunki między nimi i nadejąc im barokowość kształtu. Przewyciężywszy konwencjonalizm modernizmu Nałkowska w większości swych utworów staje się pisarzem, który nie poprzestaje na obserwacji życia, lecz chce przekazać czytelnikowi swą wiedzę o nim. Może najwyraźniej widać to w powieści „Niecierpliwi”, gdzie naturalistyczna koncepcja dziedziczności, dotycząca obłędu i skłonności do samobójstw zaciążyła nad całym utworem. W celu przeprowadzenia swej tezy Nałkowska informuje czytelnika o wielu nieżyjących przodkach bohaterów, przypomina ich tragiczne zgony, sugerując od początku, że i bohaterów czeka ten sam los. Koncepcja ta zaważyła na całej akcji, pozwalając z góry przewidzieć przebieg wypadków i ich rozwiązanie. Zresztą właśnie z tego względu rozwikłania akcji nie były dla Nałkowskiej najważniejsze i dlatego też często mogła od razu na początku powie-

ści informować czytelnika o wyniku wydarzeń. Ważniejszym stawało się to — jak i dlaczego akcja musiała znaleźć takie zakończenie. Wydaje się, że Nałkowska przyjęła pewne metody konstruktivismu własnie z tej przyczyny, że najlepiej odpowiadały charakterowi jej ówczesnej twórczości, wyraźnie zmierzającej w kierunku powieści o typie refleksyjnym.

Inną sprawą, która również oddalała zawsze Nałkowską od techniki realistycznej było zbyt dokładne i ostre widzenie szczegółów życia. Pozornie wygląda to na paradoks, ale przecież najczęściej stosuje się termin realizm wtedy, gdy pisarz widzi rzeczywistość tak jak większość ludzi. Nałkowska widzi ostrzej i dokładniej niż przeciętny obserwator. Opisując np. w „Granicach” wnętrze pokoju opowiada: „Wtedy po stole, poprzez książki i niemożne albumy rozpoczynał ukośną wędrówkę stworzyciel najdziwniejszy, pajak najwięk- kszod od biedronki, na nogach wysokich dla niego jak wielopiętrowe rusztowania, a miękkich i cienutkich jak włosy. Idąc balansował tancecznie, i każdą nóżkę stawiał niedbale zarazem i etykietałnie, z jakąś egzaltowaną elegancją. Było widoczne, że jest wytworny i wrażliwy, ostrożny i wybredny, mógł przytem robić się na przemian wyższy albo niższy zależnie od swej chęci...” Świetny ten opis zwraca uwagę na szczegóły niezauważalne przez większość ludzi. Zmienia też jakoś proporcje tego, co jest ważne w opisie pokoju, odrywa, właśnie dzięki swej niezwykłości i miniaturowej precyzji, uwagę od biegu akcji. Dygresji takich w twórczości Nałkowskiej jest wiele. Wskazują one na jakiś odrębny, właściwy tylko Nałkowskiej stosunek do życia, na podkreślenie raczej cech indywidualnych niż typowych, co jest także właściwością odbiegającą od realizmu. W „Medalionach” przeciwnie, autorka wyraźnie typizuje każdą z postaci, każdy fakt jest charakterystyczny i reprezentatywny. Dlatego można by zaryzykować twierdzenie, że „Medaliony” rozpoczynają jeszcze jeden nowy etap pięknej twórczości Nałkowskiej.

Ewa Korzeniowska

SEWERYN POLLAK

FABRYKA, DOM KULTURY, CERKIEW *)

GDY SPOJRZEĆ na plany największych miast świata, to plan Moskwy najbardziej wyda się nam podobny do planu Mediolanu, a u nas do Krakowa. Tak samo promieniście rozbiegające się od środka miasta ulice, takie same koncentryczne koła szerokich alej, opasujące centrum. Prawidłowość rozwoju tego miasta, które rozrastało się wokół naturalnej obrony — Kremlu, jest zadziwiająca. Dzisiejsi urbaniści, unowocześniając miasto, niewiele zmienili w ogólnym planie. Niemniej zmiany są ogromne. Świadczyć o nich może znowu porównanie planów: dawnej i nowej Moskwy. Ulica Gorkiego, dawna Twerska, rozszerzyła się bodaj trzykrotnie i wyprostowała — jedną jej stronę dosłownie odsunęto. Nie wiem, jak tego dokonano bez rozbierania domów, wiem tylko jedno: wszyscy zapewniali mnie, że pewnej nocy stare domy wraz ze wymi mieszkańcami, którzy wtedy najspokojniej sobie spali, wraz z psami, kotami i szczurami w piwotcy przejechały o kilkadziesiąt metrów dalej. Gdy się dziwiłem, odpowiadano mi jednym słowem — „Technika!” i podnoszono wysoko wskazujący palec.

Uwierzyłem dopiero wtedy, kiedy obejrzałem ZIS, to jest Zakłady im. Stalina. Oczywiście ZIS, poza faktem, że produkuje m. in. wielkie auto- i trolleybusy, nie ma nic wspólnego z przesuwaniem domów na rolkach, niemniej ogrom tych jednych z największych w Europie, a bodaj że i na świecie zakładów budowy samochodów jest tak imponujący, że słowo „Technika!” i gest palcem w niebo nie wywołuje już uśmiechu i napawając szacunkiem i zdumieniem, każe uwierzyć w możliwość przesuwania domów.

Na olbrzymiej przestrzeni 500 hektarów rozsiadło się miasto warsztatów i hal fabrycznych, składających się z 10 tysięcy jednostek budowy, a zatrudniające 50 tysięcy ludzi.



Otwarte palenisko w jednej z wielkich fabryk radzieckiego przemysłu metalurgicznego

Budowę zakładów rozpoczęto jeszcze przed Rewolucją, w 1916 roku — były one z początku obliczone na produkcję 1500 maszyn rocznie. Właścicielami zakładów byli podówczas znani w Moskwie bankierzy i przemysłowcy, bracia Rjabuszynscy. Otrzymałszy od rządu carskiego 11 milionów rubli subsydium i wszedłszy w porozumienie z włoską firmą samochodową „Fiat”, zbudowali kilka niewielkich warsztatów, na które wydali wszystkie pieniądze, tak, że do wybuchu Rewolucji nie zdążyli wypuścić ani jednej maszyny. A kiedy w 1924 roku robotnicy fabryki, która pierwotnie nazywała się „AMO”, wypuścili pierwsze maszyny, jeden z Rjabuszynskich ogłosił w paryskiej prasie emigracyjnej list otwarty, w którym demaskował „kłamstwa bolszewickie”, twierdząc, że auta te pochodzą jeszcze z jego przed-

rewolucyjnej produkcji, że bolszewicy sami nie potrafili uruchomić swego przemysłu.

Tymczasem w okresie 1-szej pięcioletki zakłady, które w 1931 roku zmieniły nazwę na ZIS, zwiększyły swą produkcję 16 razy. W zakładach im. Stalina produkcja auta zaczyna się od bezkształtnej bryły żelaza, po czterech dniach, gdyż tyle właśnie czasu trwa cykl produkcyjny, opuszcza ona teren fabryczny w postaci całkowicie wyposażonej ciężarówki. We wszystkich prawie działach, gdzie tylko to jest możliwe, zastosowano system taśmy ruhomej.

Mniej skomplikowane części wybijają się na olbrzymich sztańcach w kuźni. Jak też taka kuźnia wygląda? Pamięamy dobrze, opisuje ją Homer:

Idźcie do kuźni, zwraca wprost ku ogniu
miechły,
W dwudziestu piecach gęste ich szumia
oddech,
Na przemiany swe piersi wzdymają i płaszcza,
I różny wiatr posłuszna wyziewając naszcza,
Do roboty, do chęci sztukmistrza stosowne,
Raz wolne niecąc żary, drugi raz gwałtowne,
Potem w piec zapalony gruba kładzie szyny,
Z miedzi, z drogiego złota, ze srebra cyny,
A stawiając pod kowadło wielkie pniak
niezłomny,
Jedną ręką wzięt kleszcze, drugą młot
ogromny.

(Przekład Fr. Dmochowskiego)

Oczywiście, istnieją pewne drobne różnice techniki. Ogromne młoty pneumatyczne stoją rozstawione wzdłuż sali. Z umieszczonych obok pieców, gdzie szumią oddech ropy, robotnicy wyciągają sztaby rozpalonego do czerwoności żelaza. Kowal, stojący przy młocie, obu rękami bierze w kleszcze żelazo i podkłada pod ogromny młot. Młot uderza, w półmroku hali sypią się zmienne gwiazdozbiory iskier, uderza jeszcze raz — i bryła przybiera kształt: wybija go sztańca, umieszczona u spodu młota. Zręcznym ruchem drugi kowal przerzuca pioną część samochodu na niezłomny, stalowy pień. Inny młot, młot obcina wystające, niepotrzebne płyty żelaziwa. Długie uchwyty, zawieszona na łańcuchach, chwytają ulepiony z ognia odłamek czegoś, co się dopiero ukształtowało i długim szeregiem, górą, ponad głowami wędrują po szynach, stygnąc po drodze, części auta, jeszcze niepełne, jeszcze niegotowe, zaledwie przygotowane do oszlifowania, lecz już widomie urobione na podobieństwo doskonałego, celowego wzorca.

Kobiety, które w innej hali lepia te wzorce z jakiegoś specjalnego gatunku ziemi pomieszanej z olejem słonecznikowym i jeszcze z jakimiś dodatkami, w gwarze miejscowej nazywają się koronczarki, że niby robią koronkową robotę — nam, laikom, przypominają jednak po prostu małe dzieci, lepzące babki z piasku. Babki wkłada się w skomplikowane formy, uklepuje

*) Por. Nr 1 — 2 „Kuźnicy”: Notatki z podróży; Nr 3: „Teatry i ludzie” i Nr 5: „Leningrad”.

znany nam z dziecinnych doświadczeń sposobem, a potem wypala w kociołkach do gotowania białej. Ale potem następuje rzecz przedziwna: po krętych szynach jadą powoli naczyń z wypalonymi formami; nad nimi również po szynach robotnicy prowadzą zawieszony na uchwytach ciężkie kadzie z płynnym żelazem. Pomarańczowy jego blask nie iskrzy się — jest spokojny i gęsty. Robotnica drewnianym drążkiem przebija otwór w warstwie ziemi, przykrywającej wypalone formy. Robotnicy przechylają każdą. Żelazo leje się strumieniem. Z kociołka z sykiem uchodzi gaz i para wodna. Żelazo napelniając formy, odtwarza skomplikowany kształt. Tak się dopełnia stała wymiana — żelazo nadaje kształt ziemi, ziemia żelazu.

Wiele jest etapów, wiele hal, przez które przejść musi odlew, zanim stanie się częścią samochodu. Ostatnim etapem jest montaż. U bramy długiej, półtorakilometrowej hali staje na ruchomej taśmie rama podwozia. Taśma porusza się bardzo powoli. Transportery na szynach górnych przynoszą powoli coraz to nowe części: koła, karoserię, silnik; rama podwozia powoli jedzie od grupy robotników do grupy. Ubiągają ją w coraz to nowe stroje, montują, malują. Wreszcie, przy końcu do baków nalewa się benzynę. Jeszcze jedno spojrzenie kontrolera, do budki siada szofer i ciężarówka wyjeżdża z hali.

Dzięki zastosowaniu systemu taśmowego, produkcja w Zakładach im. Stalina jest tańsza, oszczędniejsza. Całkowita produkcja ciężarówki wymaga 230 godzin pracy ludzkiej, podczas gdy w niemieckich fabrykach samochodowych trzeba na to zużyć dwa tysiące tych jednostek.

W 1940 roku zakłady przemysłowe Moskwy wyprodukowały prawie 21 razy więcej wytworów przemysłowych niż w 1913 roku i prawie dwa razy więcej niż wyprodukował przemysł w całej przedrewolucyjnej Rosji.

Ilość robotników i pracowników w zakładach przemysłowych i w instytucjach moskiewskich zwiększyła się od 1913 roku blisko czterokrotnie, — w 1913 roku wynosiła 600 tysięcy, w 1940 — 2,3 miliona.

Wokół Zakładów im. Stalina wyrosła cała kolonia domów robotniczych. Nie zdążyłem ich zwiedzić, na pewno jednak warunki mieszkaniowe w nich, jak i w całej Moskwie, nie należą do najświetniejszych. Złożyło się na to wiele przyczyn — gwałtowny wzrost miasta, skupienie w nim całego szeregu centrów — politycznego, przemysłowego, administracyjnego, napływ z prowincji z powodu ogromnej siły atrakcyjnej stolicy, z powodu wojny, zniszczenia miast prowincjonalnych.

Wolne od pracy godziny spędza robotnik moskiewski w Domach Kultury. W jakim stopniu Dom Kultury łagodzi problem mieszkaniowy — trudno osądzić, że go jednak łagodzi — to pewne. Ale nie w tym jego rola i znaczenie. Domy Kultury w Związku Radzieckim istotnie zapoznają robotnika z dorobkiem kultury światowej, uczą szacunku dla niej i traktowania jej jako dobro klasy robotniczej. W przeciwieństwie do panujących u nas tendencji do popierania dyletanckiej partaniny, która rzekomo ma tworzyć jakieś nowe wartości, bliższe jakoby robotnikowi od twórczości zawodowców sztuki, w przeciwieństwie do panujących u nas tendencji do traktowania robotnika jako dorosłe dziecko, które nie dojrzało jeszcze do tego, aby konsumować prawdziwe dzieła sztuki, w przeciwieństwie wreszcie do żądań, aby nasi pisarze, malarze i muzycy tworzyli jakąś sztukę stosowaną dla robotników i o robotnikach, do programu jakiegoś zwyrodniałego, skarlałego proletkultu, który dawno już na terenie ZSRR został przewalczony i osądzony — Domy Kultury w Związku Radzieckim dostarczają robotnikom pełnowartościowej, niezafałszowanej strawy kulturalnej, czerpanej z ogólnego kotła kultury europejskiej. Nikt tam nie ośmieliłby się wymagać od dramaturga pisanego inaczej na wielką scenę, a inaczej na scenę Domu Kultury, choćby nawet utwór ten miał grać zespół amatorski. Tak samo nikt nie zawaha się pokazać robotnikowi na scenie jego Domu Kultury utworu klasycznego: Racine'a, Moliere'a czy Szekspira, Gogola czy Musseta. Tych różnic, wynikających z rzekomej troski o zainteresowanie robotnika, troski, która w

gruncie rzeczy wynika z niewiary w jego możliwości intelektualne — w ZSRR nie ma i być nie może w państwie socjalistycznym.

W domach Kultury, urządzonych w sposób możliwie najbardziej luksusowy, często po prostu z przepychem, są sale teatralne i kinowe, biblioteki, czytelnie, koła samokształceniowe, wychowania społecznego, zabaw i gier. A wszędzie ogromna ilość instruktorów, oświatowców, bibliotekarzy. To oni właśnie stanowią o doskonałym przygotowaniu robotników radzieckich do konsumpcji dóbr kulturalnych, owocem ich pracy jest kolosalne czytelnictwo, ogromna chłonność umysłowa klasy społecznej, która trzydzieści lat temu była całkowicie odsunięta od możliwości wejścia w europejski krąg kulturalny.

Wszystkie te uwagi nieodparcie nasuwają się przy zwiedzaniu Domu Kultury przy zakładach im. Stalina. I jeśli nie stać nas jeszcze w Polsce na ten rozmach, jaki widzimy na każdym kroku w tym monumentalnym Pałacu Kultury, to na pewno możemy się oprzeć na metodach tam wypracowanych, a stosowanych w tysiącach pomniejszych tego rodzaju domach, rozsianych na całym ogromnym obszarze ZSRR.

W Domu Dziecka przy Chlebozawodzie, czyli przy piekarni mechanicznej, jednej z największych w Moskwie, na podłogach leżą miękkie, puszyste dywany. Przychodzimy tam w porze poobiedniego snu. Dzieci śpią w kilku sypialniach, podzielone na grupy zależnie od wieku. W całym żłobku panuje uroczysta cisza. Kierowniczka w asyście sporej grupki wychowawczyń oprowadza nas po całym domu. Nie zapomina o niczym — pokazuje nie tylko pokoje do nauki, sale zabaw, pokoje przyrodnicze, oddzielne dla każdej grupy, lecz nawet łazienki i toalety. Wszystko tu jest celowe i przemyślane do ostatniego szczegółu. W korytarzach stoją szafki, na każdej zamiast nazwiska — obrazek. Dziecko, które nie umie jeszcze czytać, pamięta, że jest lwem lub papugą i trafia do swojej szafki. Każda grupa bawi się, je i śpi oddzielnie, zwłaszcza dzieci, przebywające przez dłuższy czas w żłobku są ściśle odizolowane od tych, które matki przyprowadzają na czas pracy, a potem zabierają do domu. Spowodowane to jest troską o niezawleczenie infekcji.

— Czy się to udaje? — pytamy.
Tak, na ogół dzieci u nas nie chorują, zwłaszcza te, których matki pracujące na nocnej zmianie, pozostawiają nam na kilka tygodni. Doświadczenie jednak uczy, że dzieci przebywające w zakładach zamkniętych, potem gdy stykają się z otoczeniem, są bardziej podatne na choroby. Wystrzegamy się więc skrajności — do niczego to nie prowadzi.

Zapytujemy o warunki utrzymania i pobytu dzieci. Rodzice płacą za każde dziecko około 80 rubli miesięcznie, wynoszący to około 10% miesięcznych dochodów średniowkwalifikowanego robotnika. Za te pieniądze dziecko otrzymuje pełne utrzymanie, latem wyjeżdża na wieś, do kolonii wiejskiej, którą zarządza zakład pracy. Prócz kolonii wypoczynkowej piekarnia posiada fermę, dostarczającą żłobkowi produktów.

— Czy te 80 rubli pokrywa koszty utrzymania dziecka? — zapytuje ktoś z nas. Dyrektor Chlebozawodu śmieje się:

— Dom Dziecka pochłania spora część nadwyżek z piekarni. To nie są tanie rzeczy — dodaje z dumą.

Zwiedzamy piekarnię. Trudno to zresztą tak nazwać. Piekarnia, która zatrudnia 800 osób, przestaje być piekarnią — stosowniejszą dla niej nazwa jest fabryka chleba — chlebozawod. Produkuje ona dziennie około 250 ton chleba, a obliczona jest na 470 ton. Trzy takie fabryki i dwaście mniejszych karmią Moskwę. Przez cały czas produkcji tylko dwa razy chleb dotykany jest ręką.

— Ale wkrótce to zmienimy — oświadcza dyrektor. — Po raz pierwszy dotknie chleba sprzedawca, po raz drugi — kupujący.

W domu, gdzie znajduje się dzisiaj Muzeum Rewolucji, dawniej mieścił się Klub Angielski. W końcu XVIII wieku było to miejsce zebrań masonów. Do klubu należeli tacy najbardziej postępowi w swojej epoce ludzie, jak poeta Cherskow, jak pisarz i publicysta Nowikow. Wolno-

ślna Katarzyna, która korespondowała z Wolterem, prześladowała masonów. Samo należenie do klubu wzbudzało podejrzliwość. Po pożarze Moskwy w 1812 r. klub dochodzi do największego rozkwitu. Pisze o nim Puszkina:

W pałacu Angielskiego Klubu
(Ludowych posiedzeń próba)...

Należenie do klubu było jednak nielada zaszczytem. Dostać się tam było nieco trudniej niż do „Klubu Pickwicka” w Łodzi. Gdy bajkopisarz Dmitriew zwrócił uwagę Puszkina na niestosowność nazwy „Moskiewski Klub Angielski”, Puszkina odpowiedział mu:

— Jest nazwa jeszcze bardziej niestosowna: Cesarskie towarzystwo dobroczynności.

A w 1833 roku pisał do żony:

„Powiedz Wiazemskiemu, że umarł jego imiennik książę Piotr Dolgorukow. Otrzymał uprzednio jakiś spadek i nie zdążył go przepuścić w Klubie Angielskim, czego tutejsze towarzystwo bardzo żałuje. W klubie nie byłam, o mało nie zostałam wykluczony, ponieważ zapomniałem odnowić swą kartę członkowską, będę musiał zapłacić karę 300 rubli, a chętnie bym sprzedał Angielski Klub za 200 rubli”.

Czasy się zmieniły. Członkowie klubu doszli do tego — jak opowiada L. Nikulin — że uroczysto podejmowali w jego murach kata Polaków, wileńskiego generała gubernatora Murawjewa, którego współczesni Rosjanie nazywali Wieszatkiem. Oburzony tym wnuk Suworowa publicznie potępił entuzjastów „ludożercy”, jak go nazwał.

W Muzeum Rewolucji jedna z sal poświęcona jest inwazji Pilsudskiego w 1919 roku na Kijów i wojnie 1920 roku. Na środku sali stoi taczanka, która była w walkach pod Warszawą. Pamiętam z dzieciństwa afisze z sierpnia 1920 roku. Głosiły one: „Ojczyzna w niebezpieczeństwie”. Takie same afisze, tylko z datą o rok wcześniejszą, wzywały do walki z interwencyjnym najazdem na Kijów.

Tak wyglądała trudna dialektyka historii.

Zacząłem się od tego, że Jan Kott nie zna języka rosyjskiego. Z Rosjanami porozumiewał się dziwną gwara, będącą zlepkiem słów polskich, francuskich, ukraińskich i rzadka rosyjskich. Od czasu do czasu, w momentach życiowo trudnych, wymagających ścisłego wypowiedzenia myśli, dopomagał sobie żywą gestykulacją, łaciny i „pseudonaukową” gwara „Kuźnicy”.

Niestety, o tym ostatnim sposobie w pewnej chwili zapomniał gdyż wypowiedział życzenie najprostsze. Chciał zobaczyć metro moskiewskie, wobec tego wyraził się z francuska, że chce widzieć metropolitain i dlatego też zaraz nazajutrz zamówiono dla nas audiencję u metropolity moskiewskiego.

Nie żalowałbym jednak tej wizyty — gdyby nie to nieporozumienie lingwistyczne, ominęłaby nas jedna z najciekawszych rozmów, jaką mieliśmy w Moskwie i jaką zapewne rzadko który cudzoziemiec mógłby się pochwalić.

Może dlatego właśnie koledzy moi zadawali pytania nazbyt już obcesowe, które z pewnym zażenowaniem, spełniając rolę tłumacza, przekładałem na język rosyjski, starając się łagodzić przynajmniej stylistycznie zbyt ostre ich kandy.

Metropolita, druga po patriarchacie osoba cerkwi prawosławnej, nie tylko na Związek Radziecki, lecz również na egzarchaty w Ameryce, Francji, Austrii, Czechach i Chinach, obejmujące wszystkich prawosławnych Rosjan w tych krajach — nie potraktował nas jak barbarzyńców, lecz z niezmiennym półśmiechem doskonałego dyplomaty i człowieka o wysokim wyrobieniu towarzyskim i bystrej inteligencji odpowiadał nam poważnie i wyczerpująco na najtrudniejsze pytania. Na zapytanie co sędzi o propagandzie ateizmu i bezbożnictwa, odrzekł spokojnie:

— Nic o tym nie wiem. Cerkiew prawosławna jest organizacją zwartą, skuniona, posiadająca własne cele, tego rodzaju rzeczy jeśli istnieją, do nas nie docierają, a tym bardziej nam w naszej działalności nie przeszkadzają.

Odmalował nam pokrótce dzieje odrodzenia patriarchatu w 1943 roku, — o u-

dziale cerkwi prawosławnej w walce z Niemcami wiedzieliśmy już w przeszłości skądinąd — opowiedział o organizacji Cerkwi, Cerkiew prawosławna w ZSRR posiada obecnie dwie akademie duchowne i 12 seminariów o czteroletnim kursie naukowym. W dwudziestu dwóch tysiącach parafii na terenie całego Związku Radzieckiego cerkiew posiada około 30.000 popów. W samej Moskwie otwarte są obecnie 52 świątynie. Państwo oddało do dyspozycji patriarchy drukarnię w klasztorze w Zagorsku, przedtem modlitewniki i inne druki na użytek cerkwi drukowane były w drukarniach państwowych. Oczywiście, jak w każdym kraju, gdzie nastąpił ścisły rozdział państwa od kościoła, cerkiew prawosławna w ZSRR jest organizacją, która czerpie fundusze wyłącznie ze składek wiernych.

— A jak się przedstawia stan ilościowy wyznawców? — zapytuje któryś z nas.

— No cóż — odpowiada metropolita — w czasie wojny ilość wyznawców zwiększyła się znacznie. To chyba zrozumiałe — dodał. A teraz nie wzrasta co prawda, ale i nie zmniejsza się zbytnio.

Trudna dialektyka przejawia się i tutaj. W kraju, gdzie materializm jest podstawą nauczania, można było zamknąć pismo „Bezbożnik” — książka i tak robi swoje.

W poezji rosyjskiej, wbrew ogólnemu u nas mniemaniu, istnieją dwa równoległe nurty. Nurty powszechny — to poezja bardzo uspołeczniona, prosta pod względem formalnym, łatwa jeśli chodzi o komunikatywność, wywodząca się z tradycji puszkiniowskich i niekrasowowskich. — Drugi nurty posiada zasięg znacznie węższy, niemniej jednak rozwija się równoległe z poprzednim. Jest to poezja bardziej intymna, mająca swe źródła w symbolizmie i w prądach, które z symbolizmu rosyjskiego wyrosły. Oba te nurty istniały zresztą w poezji rosyjskiej zawsze, zmieniło się tylko ich nasilenie i zasięg. Jest to zjawisko zrozumiałe — w kraju, gdzie życie społeczne odgrywa tak kolosalną rolę, gdzie przy tym zainteresowanie poezją obejmuje szersze kręgi niż gdziekolwiek indziej, to przesunięcie dominant świadczy o tym większym wzroście zainteresowania dla poezji i chłonności jej odbiorców. Ogromnie wpłynęła na to również wojna — tematyka wojenna nadal jeszcze zajmuje naczelną miejsce w ostatnio wydawanych zbiorach poezji. Pomimo to tak zwana liryka osobista nie straciła w Związku Radzieckim prawa obywatelstwa, jak nam się niekiedy z odległości wydaje. Nie ma bodaj poety, który by jej nie uprawiał, wyrzec się jej jest przecie równie trudno, jak wyrzec się uczuć i myśli, które ją rodzą — nikt zresztą do tego poetów nie namawia, rozumiejąc, że liryka, kształtując uczuciowość, spełnia również swoje zadanie społeczne.

Rodzi się natomiast w poezji rosyjskiej rodzaj nowy, który pewien wybitny poeta radziecki nazwał ludowym poematem epickim, a który raczej należałoby, sądząc, nazwać poematem o tematyce ludowej. Za zapowiedź rozwoju takich utworów poeta ów uważa „Wasilija Tiorkina” Twardowskiego. Zapewne tak jest, choć właśnie „Tiorkin” przy całej swej niewątpliwie nowości ujęcia, oparty jest na głębokiej tradycji, która od Niekrasowa stała się kanonem dla tego rodzaju poetyckiego. Pomimo tożsamości tytułowej powieści Piotra Boborykina „Arrodnika” i liberala, wydana w 1892 r. p. t. „Wasilija Tiorkin”, a opisująca w różowych barwach życie fabrykanta, który wyszedł z łudu — posłużyła zapewne Twardowskiemu nie tyle za wzór, ile za odepkocznik do przedstawienia współczesnego, obdarzonego wielką sympatią autora patriotycznego chłopka-roztropka.

Droga rozwoju literatury, jak każda droga sztuki, która wyrasta z żywego społeczeństwa, nigdy nie bywa jednolita; dopiero później, ze starcia się kilku jednocześnie istniejących prądów rodzi się to, co zwykliśmy nazywać stylem epoki. Jeśli chodzi o poezję radziecką, styl ten już istnieje od lat kilku — następne lata przyniosą jego rozwój i męski rozkwit, tak jak już dzisiaj daje się zauważyć siła jego oddziaływania.

Seweryn Pollak

TADEUSZ JULIUSZ KROŃSKI

Henri Lefebvre i renesans lewicy francuskiej

PRAWIE jednocześnie ukazały się w Paryżu dwie nowe książki Henri Lefebvra: „Krytyka życia codziennego”¹⁾ i „Logika formalna — Logika dialektyczna”²⁾. „Krytyka” odsłania zakłamanie myśli i kultury burżuazji i jego niebezpieczeństwo dla życia. Logika, stanowiąca pierwszą część osiem tomów zakrojonego dzieła „W świetle materializmu dialektycznego”, przygotowuje podstawy teoretyczne dla nowej kultury, wolnej od zdziwienia i degeneracji, które życiu współczesnego Europejczyka przynosi irracjonalizm. Henri Lefebvre, autor „Egzystencjalizmu”, „Materializmu dialektycznego”, monografii o Kartezjuszu i Nietzschem, rozprawy o nacjonalizmie, wydawca i komentator Hegla, Marksa i Lenina, jest uważany we Francji za jednego z wybitniejszych dziś myślicieli lewicy. Aktualizując nawet najbardziej oderwane zagadnienia, geniusz rasy francuskiej obdarzył Lefebvra szczególną wyobraźnią polityczną i filozoficzną, pozwalającą mu widzieć problematyki filozoficzne tam, gdzie dla zwykłego człowieka istnieją tylko „gra interesów”, oraz aktualną walkę o życie tam, gdzie widzi się zazwyczaj pojedynek uniwersyteckich czy prywatnych moli książkowych. Lefebvre jest teoretykiem, ale także i bojowym żołnierzem swej partii. Okresu okupacji nie przeżył na wygodnej katedrze uniwersyteckiej, ale w szeregach Résistance. Jego działalność naukowo-literacka nie przynosiła mu pieniędzy — Lefebvre jest do dziś dnia profesorem liceum w Tuluzie — ale represje ze strony władz okupacyjnych i przedwojennych, które konfiskowały jego książki „Nacjonalizm przeciw narodom” — skonfiskowany przez rząd Daladiera, „Nietzsche”, „Materializm dialektyczny”, „Hitler u władzy” — nakłady skonfiskowane i zniszczone przez Niemców. Pewne tytuły jego książek mogą wywołać zastrzeżenia u czytelników, przyzwyczajonych do tego, że „filozofowie” unikają zazwyczaj tematów „drażliwych” i zbyt „aktualnych” — jeżeli dotykają ich, to ostrożnie, aluzyjnie, „naukowo” czyli technicznie. „Nacjonalizm przeciw narodom” — książka traktująca o degeneracji nacjonalizmu mieszczańskiego. A tu znowu „Hitler u władzy” — bliźniaki pięciu lat faszyzmu w Niemczech... Cóż to za umysł „nieskoordynowany”, „nieuniwersytecki”? Myśląc tak, zapomina się jednak, że to dopiero Niemcy w XIX-tym wieku nauczyli filozofie egzystencji uniwersyteckiej, „oderwanej”. Filozofia XVIII-go wieku bliższa była i klucza aktualności, to samo renesans. A coż dopiero złoty wiek myśli greckiej! A zresztą „aktualność”, „aktualność”... Wszystko, co się pisze, jest aktualne. „Krytyka” Lefebvra tłumaczy, że aktualność polityczna gnieździ się nawet tam, gdzie autor nie wysuwa nawet nosa poza „naukowe” analizy świadomości transcendentnej, chroniony wobec zarzutów o politykę pancernem najsubtelniejszej terminologii. Pocisk intelektualny Lefebvra przebija i ten pancerz, ukazując i tam obecność i aktualność polityki warstw uprzywilejowanych. Tytuł pod adresem wysubtelności mózgu i poważnych czytelników artykułów, których w zestawieniu prac filozofa może razić Hitler i nacjonalizm.

„Krytyka” jest dla wielu lekturą bolesną. Lefebvre, opisując w niej mieszczański pogląd na świat, dezawuuje nietylko te jego punkty, które stokrotnie odsianiane przez myślicieli i artystów, stały się widoczne nawet dla najbardziej zakamieniałych intelektualistów reakcji, ale i te, dotąd przez nikogo jasno nie kwestionowane, „dobre” czy nawet „wzniosłe” jego elementy. To jak gdyby lekarz dotykał skalepce zdrowych w opinii pacjenta miejsc, odsłaniając przed nim wrzody, których istnienia ten nigdy nie przeczuwał. Ze „indywidualistycznym” mieszczańskim w istocie wszyscy podobni do siebie jak bracia sjańscy, że banalność inteligencji mieszczańskiej jest groteskowa, a nawet niesamowita, któż o tym nie wie, któż o tym nie słyszał. Ale żeby mieszczańskim okazywał się i wtedy wstrętny, kiedy właśnie ucieka od banalności swego życia, chroniąc się w filozofii, sztuce i nauce, usiłując zapelnąć pustkę swego życia oczekiwaniami, nadzieją, kontemplacją, formułując najrozmaitsze wzniosłe slogany (a może nawet żyjąc wedle nich). Nie nawidzi swej własnej klasy i buntuje się przeciw jej rygorom, żyje w ciągłym oczekiwaniu jakiegoś cudu, który w życiu jego nadał wartość — cud ten może nadejść każdego dnia, każdej minuty. Przejawia się nagle w jednym szczęśliwie uchwyconym aspekcie zachodu słońca czy rozkwitającej róży. I wtedy okaże się, że i w życiu inteligenta mieszczańskiego jest coś pięknego, tajemniczego, wiecznego. A więc: oczekiwanie i produkowanie cudów, polowanie za niespodzianką, za wydarzeniami niesamowitymi i niepowtarzalnymi. Konsekwencją: odwrót od racjonalizmu (André Breton żąda, żeby pisanie było dyktatem myśli, uwolnionej od kontroli rozumu, „pisanie automatyczne”; bo może w jakiejś spontanicznie urodzonej asocjacji odsłoni się „prawda”, nieznaną dotąd ludzkości skutkiem permanentnej kontroli policjanta - ro-

zumu). Albo: mitologizacja świata — oglądanie go i przeżywanie w etosie bajki symbolicznej („dziwność istnienia” i dziwne znaki na niebie i na ziemi. Hamletyzm na usługach bardzo określonych interesów, które się wnet ukaza), gdzie wszystko uzyskuje szczególny sens i miejsce w życiu. Albo: skrajny indywidualizm — egotyzm filozoficzny: inteligent mieszczański szuka indywidualnego punktu oparcia w sobie samym, zagłębia się w introspekcję, żywiąc przekonanie, że na dnie swojej duszy odnajdzie może „prawdziwego siebie”. Otacza się tomatami filozofii idealistycznej, odurza się żargonem naukowym w nadziei, że filozofia dostarczy mu przewodnika w podróży do głębin własnego ja. I jakież są rezultaty tych wszystkich prób wylamania się z powszedniości życia, odnalezienia czy wynalezienia wiecznych wartości? Wszystko napróżno! Cud nie nastąpi. Prawda nie przejawia się nagle ani w introspekcyjnie uchwyconej migawce dziwności istnienia, ani w studiach nad jaźnią transcendentną. Próby te, ciągnące szamotanie się „lepszej części” burżuazji, mają swą przyczynę, która, mimo pozorów, nie jest wcale metafizyczna. Chodzi po prostu o to, że klasa uprzywilejowana, świadoma swej degeneracji, broni się, wskazując na walory indywidualistycznej koncepcji życia.

Indywidualizm to dziś naczelne hasło obozu reakcji. Indywidualizm jest ideową skorupą ochronną kapitalisty i inteligenta mieszczańskiego, dobrze rozumiejących, że indywidualizmowi odpowiada na płaszczyźnie społecznej atomizm, a zwycięstwo tego ostatniego równa się uniemożliwieniu dalszego pogłębiania się świadomości klasowej (jesteśmy wszyscy wolnymi jednostkami, i ty i ja i ten bogaty przemysłowiec w samochodzie i ten biedny robotnik i ten wynędzniały żydowina także). Konsekwencją praktyczną indywidualizmu i dyktanda klasy uprzywilejowanej jest bezrobocie i degeneracja cywilizacji z nauką, sztuką i filozofią na czele. „Indywidualista” skutkiem ucisku kapitalistycznego traci związek z życiem, wynaturza się, szukając rozwiązania dla zagadnienia swego życia, znajduje je właśnie w „dziwności istnienia”, w „rozpaczy metafizycznej” itd. W dalszym procesie abstrahowania od życia „indywidualista” ulega całkowitemu wyjałowieniu z sił witalnych i staje się niezdolny do jakiegokolwiek myślenia twórczego. Zawieszony między klasą kapitalistyczną, której służy, a masą proletariacką, której doktryny nie chce uznać, usycha stopniowo, manifestując swoją rozpacz coraz chorobliwiej, coraz dźwięczniej (filozofia formalizuje się do granic pełnej niezrozumiałości; często maskuje swą pustkę mętną kokieteryjną teologiczną. Podobnie sztuka). Oto dramatyczny proces dialektyczny, któremu podlegają indywidualizm i wolność! Indywidualista chce powiedzieć wszystko, co ma w sobie, a nadmiar wolności doprowadza go do tego, że nie ma do powiedzenia niczego. Ale ze starego arsenału reakcji pozostało tak mało! Może tylko „ładna praca nie hańbi” i „pieniądz nie przynosi szczęścia”. Buduje się nowa twierdza burżuazji, wsparta tym razem nie o fundament narodu, rasy czy honoru, ale o wolność, jej złudzenia i ekstrawagancje.

„Krytykę” Lefebvra przemilcza się na łamach eleganckich revues. Reakcja zbiera dziś we Francji materiały do obrony. Nadzieje jej ogarniają dość duży obszar intelektualnego globusu. Od prawnicy katolickiej (Etienne Gilson) poprzez katolicki egzystencjalizm (Gabriel Marcel), katolików postępowych (Emanuel Mounier), federalistów europejskich (Denis de Rougemont), egzystencjalizm Jaspersa, bolesny indywidualizm Malraux i dalej, poprzez wertepy „czarnej literatury” amerykańskiej aż do „rewolucyjnego” Sartre’a. Ale na tym koniec. Sartre to granica. Na granicy paru strażników - krytyków literackich i filozoficznych, sprawdzających dokumenty — poglądy ewentualnego podróżnika. „Czy pan wierzy w nieskończoną wolność jednostki niezależnie od klasy, rasy i stanu majątkowego? Nie? W takim razie pan tedy nie przejdzie”. Lefebvre tedy nie przejdzie. Rideau de fer. Prawdziwa krata, wybudowana mózgiem idealistycznych filozofów i zgrai indywidualistów, żeby rozdzielić oba światy, postępowy i „indywidualistyczny”, żeby rozłożyć kulturę na dwa ghelta.

Na odczyt Lefebvra o roli marksizmu w nauczaniu filozofii nie było ani jednego z urzędowych indywidualistów. Olbrymi tłum wypełnił po brzoży największy amfiteatr Sorbony, ale — był to tłum marksistowski. Zrzadka, co setna, co dwusetna osoba zdradzała kwaśnym uśmiechem oraz trzymaną w ręku książką Kierkegarda, Marcela czy de Sade’a (?) indywidualistyczne poglądy (odwrotność w Collège philosophique, gdzie wśród idealistycznego tłumy zrzadka tylko przemknął agent postępowego wywiadu z „Kuźnicą” w ręku). A przecież jakże ciekawy widok. W tej samej sali, w której rok temu przemawiali Malraux i Sartre, rozlegnie się za chwilę głos Lefebvra. Oto wstaje witany burzą oklasków.

Rozpoczęła się wielka walka racjonalizmu z irracjonalizmem, najnowszym środkiem obrony zagrożonej reakcji. Intelektualiści reakcyjni szukają oparcia w wiecznych źródłach ja subiektywnego. Pojawili się ostatnio w Europie specyficzny typ pisarza - „kupa własnego ja”. Zalew irracjonalizmu grozi

zniszczeniem odwiecznych wartości kultury europejskiej i francuskiej, opartej na myśli racjonalnej. W chwili, kiedy zawodzą wszystkie inne rezerwy racjonalizmu, marksizm jest jedynym obrońcą tradycji i jedynym obrońcą człowieka. Egzystencjalizm i inne współczesne doktryny irracjonalne jak neoneitzscheizm, chcą człowiekowi odebrać cel i sens życia, wykładając je jako absurdalne. Marksizm podejmuje walkę o pełną sensowność życia ludzkiego i jednostki; on jeden jest dziś optymistycznym poglądem na świat. Ale jest też czymś więcej, niż poglądem i metodą badawczą. Istota jego polega na pełnej identyfikacji metody myślenia i akcji. Permanentny proces korespondencji, jaki zachodzi między metodą i działaniem marksizmu, wymaga oczywiście od pisarza postępowego szczególnej czujności. Jean Kanapa twierdzi sformułował imperatyw marksistowski: „Myśl tak, jak gdyby już twoja myśl była czynem, jak gdyby cała walka człowieka zależała od ciebie”. Ciągła współzależność myśli i działania wymaga od pisarza „engagement” — nie istnieje myślenie ani tworzenie „dla siebie samego”. Chodzi teraz o to, żeby zaangażować się po słusznej stronie.

Wobec konieczności walki z zalewającym dziś Europę irracjonalizmem szczególnie aktualna jest marksistowska mise au point, zajęcie stanowiska wobec logiki formalnej, tego niegdys wytworu, a potem podstawy myślenia racjonalnej. Nowy irracjonalizm bądź przekreśla w ogóle logikę formalną, bądź ją relatywizuje, bądź wreszcie (najczęściej) nie wyciąga konsekwencji z własnych założeń i objawia wobec niej pełne désintéressement. Czyniąc tak, albo uważa, że załatwiwszy się z logiką formalną, załatwia się zarazem z logiką dialektyczną (prawie egzystencjalna), albo, że przez swą postawę anty-logistyczną zbliża się właśnie do myśli marksistowskiej w tym, co miałoby być dla niej najistotniejsze (Sartre, Merleau - Ponty). Ale z drugiej strony konfuzja pojęć istnieje także wśród myślicieli racjonalistycznych, którzy niekiedy w swym przywiązaniu do logiki tradycyjnej widzą opory wobec myśli marksistowskiej (np. Julien Benda). „Logika formalna — Logika dialektyczna” Lefebvra pogłębia i aktualizuje to kapitalne zagadnienie i ukazuje całą praktyczną jego wagę.

Czym jest logika formalna? Jest to nauka o metodzie racjonalnego poznania. Formalna jest dlatego, że zajmuje się wyłącznie czystymi formami poznania. A jest A, jeżeli A jest B i B jest C, to i A jest C — operacje intelektualne tego typu są zupełnie niezależne od zawartości eksperymentalnej. Formalizm logiki znajduje swe usprawiedliwienie w jej absolutnej uniwersalności. Przykłady, jakie podsuwa się pod symbole, są tylko pretekstami; ich dowolność i zamiennność jednych przez drugie odbiera im wszelką wartość konkretną. Logika formalna, logika formy jest logiką abstrakcyjną; gdy po prowizorycznej redukcji zawartości (treści) syllogizmu chcemy do tej zawartości powrócić, niewystarczającą operacją logiczną ukazuje się w całej pełni. Proces abstrahowania od zawartości, na którym wspiera się logika formalna, nie jest jednak niepotrzebny. Chwilowa eliminacja od zawartości (treści) jest niezbędna na pewnych stopniach i w pewnych stadiach poznania. Ale gdy chcemy na nowo wrócić do zawartości (treści) tego, o co nam chodzi, gdy więc chcemy dotrzeć do praktycznych konsekwencji wyników procesu abstrakcji, musimy sięgnąć do logiki nieformalnej, logiki zawartości. Ale zawartość, zawartość konkretna, podlega zmianom, ustawicznemu procesowi stawania się, historii, a prawidłowość tych zmian nie jest natury logicznej, ale dialektycznej. Dlatego logika konkretna jest logiką dialektyczną.

Dialektyka i logika dialektyczna przeciwstawia się metafizyce, dla której jest istotne, przekonanie, że rzeczy istnieją i zdarzenia dzieją się niezależnie od siebie, że więc badać je można i należy jedne po drugich. (Dla metafizyka) rzeczy są dane raz na zawsze. (Metafizyka) nie myśli inaczej jak tylko operując antytezami; mówi on: tak, tak, nie, nie, a wszystko, co poza tym, jest złe” (Engels, Anti-Dühring). Kapitalne wyjaśnienie Engelsa pozwala zrozumieć wzajemny stosunek: metafizyka — logika formalna, dialektyka — logika dialektyczna. Czy jednak, potępiając metafizykę, potępiamy totalnie logikę formalną?

Lefebvre rehabilituje logikę formalną przez jej reintegrację do całości problematyki marksistowskiej. To dopiero metafizyka, czyniąc z logiki formalnej swe narzędzie, uczyniła z niej system praw nieruchomy i absolutny. Logika formalna ma sama swoją historię. Pierwotnie (jeszcze bardzo niejasno sformułowana), nie była bynajmniej abstrakcyjnym procesem formalizacji i sformalizowała się dopiero w okresie, kiedy degenerowała się myśl grecka zaczęła widzieć swą zasadniczą problematykę w metafizyce. To „umetafizycznienie” myśli greckiej miało swe przyczyny w życiu. Skutkiem określonych wad struktury politycznej i społecznej nauka i technika przestają się rozwijać³⁾. Ta sama

logika, która pierwotnie i przez długi czas była narzędziem postępu, degeneruje się, odrywając się od życia, które wskutek zmienionych warunków nie potrzebuje już jej pomocy.

Historia logiki jest więc historią socjalną i człowiek współczesny — dziecko swej przeszłości — tak samo jak nie może oderwać się od tradycji historycznej, która go uformowała, nie może też w swych operacjach intelektualnych abstrahować od tych praw myśli racjonalnej, które, należąc do jego własnej historii, stały się jego intelektualnym ryszunkiem. Pusty formalizm jest nadużyciem intelektualnym, ale nie logika formalna, która żyje w każdym z nas jak „dziecko w człowieku dorosłym”. Czym jest bowiem logika jak nie badaniem warunków myślenia naukowego, a badanie takie czyż nie pokrywa się z analizą historyczną poznania, które w kontakcie z rzeczywistością wykuwa narzędzia badawcze — formy dla nieskończonej materii naszego życia? Raz zdobyte w historii formy poznania należą do nas. Przekreślenie ich, pełne potępienie logiki formalnej byłoby równoznaczne z poddaniem w wątpliwość historycznego charakteru człowieka.

Zyjemy — jak to formuluje Lefebvre — w epoce rozumu dialektycznego i syntetycznego. Okres analizy ustąpił miejsca okresowi unifikacji, syntezy, „rozumu w sensie konkretnym”, „rozum ludzki nie wykracza już poza życie i historię”. Henri Lefebvre jest pionierem nadchodzącej dla świata kultury homogenicznej, i jako taki jest pisarzem trudnym. Trudny jest i dlatego, że proces historyczny, w tym wypadku proces współczesnego kształtowania się świata, nie do wszystkich przemawia zrozumiale. Czy ludzimi, którzy nie dosyć pilnie obserwują życie intelektualne naszej epoki, głęboki optymizm Lefebvre nie wyda się wprawie niesamowity? Lefebvre wierzy w nowe odrodzenie ludzkości pod znakiem marksizmu, wierzy w nadejście wielkiej kultury homogenicznej, która położy kres obecnemu rozdarciu i degeneracji. Na czym opiera on swój optymizm? Nie myślimy już o „retardystach” i „ludziach życia”, którzy, usadowieni w jakimkolwiek czasie, sarkaliby zawsze dla najrozmaitszych powodów. Ważniejsze są inne zjawiska. Intelektualiści reakcyjni pod wpływem krytyki marksistowskiej (czy chcą, czy nie chcą jej słuchać, działa ona i tak) przeszli do bezpośredniej obrony zagrożonej struktury społecznej. Jeszcze chwila i przyznają się, o co w ogóle walczą. Skrupy ochronne (nadbudówki ideologiczne, slogany) powoli zaczynają opadać. Sygnalizujemy m. in. interesujący proces internacjonalizacji, o którym pisałem w „Sprawie Maurrasa”, robi coraz szybsze postępy. „Francja”, „narod”, „ojczyzna” wyszły już zupełnie z użycia — miejsce ich zajęła „Europa”, „społeczność europejska” i „jednostka”. Któżkolwiek orientuje się choć trochę w „europejskiej” polityce Ameryki, wie oczywiście, o co chodzi.)

Stary XVIII-wieczny racjonalizm wyrósł kiedyś z potrzeb życia, przerósł je i podyktował światu nowe prawa, tworząc wielką kulturę Oświecenia. Z życia także rodzi się współczesny racjonalizm marksistowski. Ale — jest to racjonalizm historyczny i dialektyczny, racjonalizm nie tylko sympatyzujący ze swą wielką tradycją i konfrontujący swe idee z jej postulatami i sugestiami, ale pulsuje tradycją ex definitione. Dopiero historyzm marksistowski umożliwia prawdziwą tradycyjną kulturę narodową, a więc nie tę opartą na wrzaskliwym i demagogicznym sentymentalizmie, ale na wielkiej prawdzie dialektycznej: człowiek jest tworem historycznym, formy jego postępowania i myślenia, raz zdobyte w przeszłości, żyją w nim dalej. Dzięki pracy francuskich myślicieli marksizm wciąga w orbitę życia narodowego nie tylko osiągnięcia nauki czy techniki współczesnej, ale i całe stulecia przeszłości. Materializm dialektyczny pokazuje, ile w każdym człowieku tkwi z Voltaira i Encyklopedystów, z empiryków angielskich, z Kartezjusza i Renesansu, i wreszcie z podstawy całej racjonalistycznej cywilizacji europejskiej — myśli greckiej. Antyhistorycznemu irracjonalizmowi współczesnej prawicy politycznej przeciwstawia się humanizm marksistowski, racjonalizm. Prawda, także i prawda logiczna, piękno i dobro, nie odsłaniają się w blisku spontanicznie myślącej jednostki, ale w zmaganiu z życiem, w nieustannym procesie historycznym. Marksizm francuski uświadomił sobie z całą dobitnością, że zaczął się dłać okres walki o kulturę francuską i europejską, w imię narodu, w imię wartości cywilizacji i tradycji. Oto źródło optymizmu Henri Lefebvra i źródło siły Partii francuskiego renesansu.

Tadeusz Juliusz Kroński

¹⁾ „Critique de la vie quotidienne” (Grasset).

²⁾ „A la lumière du matérialisme dialectique I. Logique formelle — Logique dialectique” (Editions sociales).

³⁾ Lefebvre wskazuje na instytucję niewolnictwa jako na właściwą przyczynę „stagnacji” cywilizacji helleńskiej. Niewolnikom zatrudnionym coraz powszechniej w rolnictwie i rzemiośle nie mogło zależeć na ulepszeniu środków produkcji.

STEFAN OTWINOWSKI

PIERWSZY ETA P*)

TO JEDNO, czego nie lubiłem na pewno: zmiany miejsca. Z tego podobny byłem do kota. W przywiązaniu potrafię zdobyć się na swoisty heroizm. Nie plynę on zresztą z woli. Przeciwnie, z jej zaprzeczenia. Ale znowu: tylko w tym jednym względzie. Bo na ogół nie jestem człowiekiem upartym. Ani konserwatystą. Ot po prostu w tym jednym względzie dziwnie. Inaczej tego nie da się określić. Bo umysłowo lubię przygody, jestem dosyć odcytany nawet poza obrębem swego zawodowego wykształcenia, lubię towarzystwo — a nawet więcej — ludzkość.

Ale zamilowania te pielęgnuję w otoczeniu skromnie, przeważnie teoretycznie. Dożywszy lat czterdziestu, stanowiska kulturalnego, ani razu nie byłem za granicą. Co tu mówić o zagranicy. Znam w ogóle trzy miasta swego kraju i tylko przypadek sprawił, że trzecim była stolica, w której mieszkalem bez przerwy lat dwadzieścia. Bez przerwy — nie wyłączając okupacji, powstania i czasu popowstaniowego. Jestem właśnie z tych nielicznych, którzy od sierpnia do stycznia pamiętnego dla narodu roku nie opuścili gruzów stolicy. Zylem przez pół roku jak człowiek na wyspie bezludnej. Gorzej — na wyspie, gdzie zamieszkał egzotycznych zwierząt zjawiali się na widnokręgu mojej samotności, wrogowie, lub szakale także o ludzkiej postaci. Ale przetrzymałem wszystko. Docekałem się przyjaciół, anonimowej siły, do której tęskniłem mocą upartą, wielką, trochę ponadludzką. Kiedy przyszły wojska ludów skrzywdzonych, płakałem, podziwiany przez dwa dni, po czym przestałem być świętym, a zacząłem być znowu zwykłym dziwkami. Ale, szczególnie rzecz, mniejszym niż poprzednio. Bo za namową nowych przyjaciół opuściłem Warszawę.

Tak. Przekonany radami nowych przyjaciół opuściłem ruiny miasta. Szedłem szosą dobrze znaną mi z podmiejskich spacerów na południe. Dziwiłem się rozpiętości świata otumanionym wzrokiem człowieka, dla którego wiara w szerokie perspektywy mogła być końcem życia. Wychodząc ze swej nory rzadko i ostrożnie, musiałem wierzyć w centryczną spójność przestrzeni. Gdybym zgubił ślad do schowania, byłbym niechybnie zgubiony... A więc, idąc teraz przed siebie odzyskiwałem wymiary rzeczy, piękno przeobrażeń krajobrazu. Wszystko było jedno, gdzie idę. To, że idę było najważniejsze. Plany organizowały się powoli. Niecierpliwość na razie znikła zupełnie z moich przeżyć. Szosą ciągnął tłum do stolicy. Ludzie wracali sprawdzać teraz dopiero stan swego rozbicia, pomieszenia, upadku. Zresztą we wszystkich oczach widać było raczej nadzieję. Najżywiej reagujące oczy witałem radośnym spojrzeniem. Nie spotykałem tych, których przedtem nazywało się znajomymi. I ta miara rozszerzyła się bardzo. Właściwie już teraz wszyscy byli — przyjaciółmi.

Zrazu miałem osiedla zniszczone, ale potem coraz częściej dom stał cały. Dopiero patrząc na przedmioty aż tak sporządzone, myślałem inaczej, ze zdziwieniem nad swoim dotychczasowym życiem. Trzeba będzie gdzieś zamieszkać. Stąd zaczęły rodzić się wspomnienia, ochota sprawdzania. I znowu nieśmiałość mieszała się ze strachem — wejść do obcego domu? Ryzykować? Nie. Skoro przyszedł pierwszy wiew, skręciłem do rozbitej willi...

Rankiem następnego dnia dotarłem do miasteczka P. Osada przypominała mi otoczenie lat najdawniejszych. Urodziłem się w podobnym miasteczku. Znikł przedział wielu lat. Nieoczekiwanie dla samego siebie zapragnąłem zostać tu na dłużej.

Na rogu ulicy Głównej i Rynku stał przed piekarnią długi, nieuporządkowany ciąg ludzi. Stanałem z boku, patrząc na walkę nielicznych milicjantów ze zniecierpliwionym tłumem. Z podwórza sklepu unosił się zapach świeżego chleba. Nie łączylem tego zapachu z głodem, miałem większą wytrzymałość od krzykliwych kobiet, skojarzył mi się z latami dzieciństwa. Znowu.

— Czego się pan gapi? — krzyknął na mnie milicjant. — Pomógłby pan robić porządek. Rady sobie dać z babami nie mo-

zna. Teraz wszyscy powinni dla dobra porządku. Ludzie zrozumcie, nie pchajcie się. Po kolei, po porządku...

Milicjant natchnął mnie wreszcie jakąś zbawczą myślą. Najwyższy czas włączyć się w jakiś ogólny porządek. Nie jestem już na pustyni. Trzeba wracać do normalnego życia. Choćby sposobami zupełnie przypadkowymi, powoli.

Neopodal z kamienicy wyższej, przyzwoitszej zwiłała chorągiew czerwono-biała. Wszedłem do gmachu, na którym widniał napis: Zaciąg Ochotniczy. Idąc wolno po schodach czułem w sobie przypływ zwykłego, obywatelskiego lęku. Wychodziła ze mnie zwierzęca bierność regulowana tylko instynktem. Zbliżał się świat tak samo stary, jak i nowy obowiązkami, znanymi mi tylko z teorii, tylko z historii. Będzie więc życie w rytmie rewolucji. Trzeba z siebie zrzucić wiele skór. Ale jest już wiara we mnie, jako podkład dla tej ostatniej. Tak, ten milicjant ocucił mnie. Poddał mi krok. Nie zmienię go już teraz.

W ten sposób znalazłem się przed biurkiem człowieka bynajmniej nie groźnego.

— Skąd pan tu?
— Z Warszawy — odpowiedziałem.

— Po co?
Chciałbym coś zrobić ze sobą. Wczoraj opuściłem Warszawę. Ukrywałem się bez przerwy aż do przyścia naszych wojsk.
— Co? Bujdy mi tu opowiadacie. Przez sześć miesięcy w ruinach? Dlaczego?
— Z bierności chyba — ze strachu. Nie wiem. Chciałem doczekać. Nie lubię się ruszać.

— Wariata strugacie. Przez sześć miesięcy w ruinach — zwariować można!
— Nie jest tak łatwo. Tak się tylko z początku zdaje. Potem — żyje się.

— Jak żeście żyli?
— W znajomym domu na strychu. Strych był cały — dom spalony. W nocy robiłem wyprawę w okolice. Dużo ludzi tak żyło. W dzień czekałem. Każdy dzień mógł być ostatni. I jeden z nich — był. Docekałem.

— Nie zwariowaliście?
— Chyba nie. Patrzę teraz na świat przytomnie i nawet chciałbym robić coś. — Jakiś porządek.

— W milicji chcecie służyć?
— Choćby.
— Umiecie strzelać?
— Potrafię chyba. Trzeba bić?
— Trzeba. Jeszcze jest wojna — a u nas już odwet i nowy porządek. Trzeba walczyć ze zdrajcami, sabotażystami, zwykłymi paskarzami... O patrzcie — urzędnik otworzył boczne drzwi — widzicie tę damę?

— Widzę.
— Jeździła z Niemcami do Warszawy. Okradała znajome domy. Nie chciała oddać nawet tego futra właścicielce. Powiada, że to futro przydzielili jej powstańcy. A powstańcy daliby po zębach. Ja też jestem powstańcem.

— I ja.
— Moglibyście bić?
— Mógłbym.

— No — zamknął drzwi.
Poprosił o papiery. Przeglądając moje życie dziwił się, i jego treści i pedanterii, z jaką ślad po nim zachowałem.

— Inteligent — powiedział ze skromną pogardą — a teraz inteligencji nie potrzeba nam jeszcze. Teraz będziecie regulowali walkę o chleb. Jasne?

— Jasne.
— A politycznie, jak jesteście? Idziecie za reformami, czy chcecie nakaz?

— Idę.
— No. Tylko nie śpieszcie. Będziecie żołnierzem, nie wodzem. A żołnierz musi uważać na krok dowódców. Jasne?
— Zupełnie.
— No to bierzcie karabin.

Na drugi dzień wczesnym rankiem wziąłem karabin. Wraz z drugim towarzyszem nowej broni udaliśmy się na kontrolę wydawania chleba. Szliśmy pięć kilometrów wzdłuż dokładnie zniszczonego toru kolejowego. Był jeszcze półmrok, gdyśmy znaleźli się w lesie — iść nie było łatwo. Potykaliśmy się o przeorane progi, o wystające szyny — wreszcie towarzysz mój wpadł w dół, wyrwany przez wielką bombę. Gramolił się powoli, stękając i klnąc przykładał. Oparł się wreszcie o karabin, wstał. Czarna plama zestrzeliła się z ciemnym jeszcze lasem. Nagle nad naszymi głowami zjawilo się stado wron — szły tak nisko, że słychać było furkot skrzydeł. Milicjant podniósł karabin do ramienia i wygarnął kilka razy w stronę — chyba uciekających ptaków. Echo, które przeszło obok mnie zdjęło mnie nowym przerażeniem.

— Wariat.
— Wariat nie wariat — odpowiedział.
— Ale można zwariować i teraz. I taka swolocz będzie uragać nad człowiekiem. Nie lubię, jak mi coś nad głową szumi. Po tym wszystkim mogę nie lubić.
— Szkoda ładunków,

— Pewnie. Tym bardziej, że kazali mi uważać na was. Nikt nie wie faktycznie, coście za jeden. Komendant mówi, że w najlepszym razie wariat... Ha, ha... wariat ma pilnować wariata... No chodźmy...

Poszliśmy. O nie będzie łatwą rzeczą przyzwyczaić się znowu do ludzi. Szedłem ostrożnie, osuwając towarzysza zauważeniami najbardziej zwykłymi.

— Rozwidnia się.
— Ot, jakby niebo dostało biegunki.
— Ładna okolica.
— Cóż z tego?
— Pewnie. Nic.

Wyszliśmy z lasu. Widać było osiedle, cel naszej wyprawy. Milicjant podniósł znowu karabin — wywalił jeszcze dwa ładunki.

— Po co? Nie pytacie?
— Nie. Teraz rozumiem. Trzeba dać znać, że idziemy. Władza.

— Dobra rzecz, jak ducha ludzkiego nie staje. Zobaczcie tu zwierzęta. To inteligentka osada. Żra się gorzej od psów... Jak myślicie, będzie jeszcze kiedy na świecie porządek?

— Będzie.
— Nie pytał kiedy... Jakbym go nagle przekonał. Nie, raczej — nie słyszał mojej odpowiedzi. Na rogu leśnej drogi stał czerwony, piętrowy, brzydki budynek — tłum ludzi otaczał wokół płat zabudowania.
— Piekarnia — i nagle dorzucił miękko — pewnie, coś się dziwić ludziom — głodni... Panie, ja tak myślę, w jednym to my cały świat prześięgamy... Gdyby ktoś umiał z nas malować obrazy...

Ale gdy się znalazł przy płocie, krzyknął przykrym, choć śmiesznym głosem:

— Stanać równo, po kolejce... Słyszysz — bo jak ci, psiakrew, nad uchem strzele. Nie lubię wron, samolotów i gamoni... Jak pan stoisz... przodem do furtki... wszyscy przodem... Tykiem się chleb oddaje, a nie bierze.

Po kwadransie takiej perory, potwierdzonej strzałami w górę, kolejka stała równo, grzecznie, bez kantów. Wszedło słońce. Piekarnik otworzył drzwi sklepu. Zrobił się ruch. Po jednym bochenku na dwie ręce. Czło-

wiek ma dwie ręce, ale i zmysł do oszustwa. Trzeba uważać. Ukracać skłonności do nielegalnego pomnażania natury. Ulitowano się nad staruszką — raz była w chustce, potem chustkę zdjęła. Ci w drugiej połowie kolejki wpuścili ją między siebie. Chustkę zdjęła dla nas. Ale mój towarzysz zapamiętał sobie właśnie ręce.

— Hulaj starucho! Pokaż, gdzie masz pierwszy bochenek!

Rewizja. Znaleźliśmy bochenek pod bluzką na plecach. Łatwiej zrobić sobie garb, aniżeli drugą parę rąk. Ludzie dzielą się w opinii. Jednym szkoda staruszki. Drugi pomagają zalegalizować się władzy. Jeszcze inni uważają, że wszystkiemu winni chłopci. Że rewolucja powinna zacząć się od upaństwowienia wszystkich gospodarstw wiejskich. Z pomieszanego gwaru, dyskusji wybija się wreszcie głos piekarza:

— Koniec. Więcej chleba nie ma. Mąki też mi na jutro nie starczy. Won rebiata.

I piekarz próbuje zamykać sklep. Ale tłum jeszcze niezaspokojony domaga się teraz innej, poważniejszej rewizji. Jest nas tylko dwóch i sprawa nie będzie łatwa. Mógłbym i zrezygnować, gdyby nie postawa mego szefa. Tłum domaga się coraz głośniejszej rewizji, dopinguje człowieka, którego brawura w strzelaniu miała swoje podstawy psychologiczne. Teraz podchodzi do drzwi piekarni bardzo serio. Piekarnik próbuje zagrozić nam wejście — to podnieca i mnie. Krzywdzić ludzi nie wolno, skończyły się czasy szakali.

— Ludzie, uspokójcie się, jeśli piekarz okaże się paskarzem — sami podzielimy chleb i mąkę. Cierpliwość, ludzie!

— Sklep jest prywatną własnością — kupiec niechętnie ustępuje przed naszymi krokami.

— Tak. Ale potrzeby są wspólne. Nikt ci sklepu nie zabiera. Za towar się płaci.

— Śmieciami.
— Moneta nowego państwa.
— Odbierzcie żyto chłopom.

— Wpierw sprawdzimy twoje magazyny.
— Mój towarzysz znalazł się głębiej w sklepie.

— Za ladą jest jeszcze kilka bochenków.
— Dla was — wykręca się piekarz.

ALEKSANDER WAT

DWA WIERSZE SĄD OSTATECZNY

Wtedy On stanął z Matką na najwyższym miejscu.

Wyciągnął prawą rękę na Wschód i ruszyły wszystkie narody Wschodu: Ajnos, Tybetańczycy, Tunguzi i Koreańczycy Parsowie, Lurowie, Assyro - chaldejczycy i liczne plemiona Beludzi, Sartoowie, Druzowie, Gomorejczycy i synowie Izraelscy Baszkirzy, Czuwaszę, Mordwa i Czeremisi Danganie, Kurdowie, Ajmacy i Hazarzy mężowie razem z żonami, dziećmi i domownikami i było ich razem dziewięćset siedemdziesiąt trzy miliony ośmiuset i utworzyli łańcuch przez pół kuli ziemskiej aż dopadli Jego rękę.

Wtedy wyciągnął lewą rękę na Zachód i pociągnęły wszystkie narody Zachodu: Wallończycy, Frankowie, Obotryci i liczne narody słowiańskie Germanowie Baskowie, Luksemburczycy, Celtowie walijscy i szkoccy Albańczycy, Angliści, Maltańczycy i Andaluzyjczycy i wiele innych szczepów i było ich razem sześćset sześćdziesiąt sześć milionów sześć tysięcy siedmiu i utworzyli łańcuch przez pół kuli ziemskiej aż uchwycili Jego rękę.

Wtedy Matka Jego wyciągnęła prawą rękę na Północ i puściły się w drogę wszystkie narody Północy: Eskimosi, Wotlacy, Samojeździ i Jakuci Norwegowie, Finnowie, Estowie i Intasi Irokezi, Siukowale, Komaneczowie i Maskoki i było ich dwieście milionów siedemset siedemdziesiąt tysięcy i jeden razem z żonami, dziećmi i domownikami i utworzyli łańcuch przez pół ziemi aż przypadli do Jej ręki.

Wtedy Matka Jego wyciągnęła lewą rękę na Południe. I pobiegli Patagończycy, Kucuzi, Czibcza i Ajmara Karaibowie, Arowakowie, Araukanie, Tupi, Guarani i Ges Hotentoci, Pigmeje, Owambowie, Hererowie, Melaneczycy i ludy Ofiru Masaje, Nilotyce, Jakobici, Maurowie i Berberyjczy Dravidzi, Kolarowie, Gurkowie, Dżatowie i Gudżarzy Malaje, Kambodżanie, Annamici, Tai i Khas i było ich z żonami, dziećmi i domownikami przeszło miliard sto pięćdziesiąt milionów, tysiąc dwustu jedenastu i utworzyli łańcuch przez pół ziemi aż do Jej ręki.

Wtedy Oboje zawirowali i razem z Nimi zawirowały cztery łańcuchy wszystkich narodów świata, mężowie, żony, dzieci i domownicy i było tych narodów sto osiemdziesiąt tysięcy dwieście dwadzieścia jeden wszyscy w swoich najlepszych strojach narodowych trzymając się za ręce wirowali wirując coraz szybciej Przy tym śpiewali fałszywie: „kto wirowań zna moc, mieszka w Panu, alleluja”

co jak wiadomo jest zmieszczonym wersem Dżalaliddin Rumi. Wody wystąpiły i cofnęły się Gwiazdy zapalały się i pokolei gasły, to zresztą naukowo zastrzeżone jest w Astronomii, Zwierzęta wjrzały ze swoich borów-lasów nawet zmarli pustelnicy wygrzebali się z jaskiń

*) Fragment powieści „Jaskinie i miasta”.

— Z wdzięczności dostaniesz i od nas, ale ciężką zapłatę. Gdzie masz jeszcze chleb? — Przemawia władza.

— Pokażcie dolary, a uwierzę w waszą władzę.

— Co? — krzyknął towarzysz. — Nie podoba ci się mój karabin. Poznasz jego siłę.

Ktoś z tłumu wyrwał się namiętnie:

— Niech żyje władza ludu. Powieść szkodnika!

Wiozłem do kosza wszystkie pozostałe bochenki. Kiedy znalazłem się przy drzwiach, dosięgnął mnie cios sklepikarza. Bił w mój kark, nie bacząc na własne plecy. Chwył go mój towarzysz w ręce mocne i wyraźnie zdenerwowane. Jeszcze nie ochłonął po obeldze, która spotkała jego karabin. Bo władzę rozumiał przez insygnia. Ale już i ja byłem na zwierzęcym śladzie racji, poparty racją ludzką. Odwróciłem się i trochę nieoczekiwanie dla samego siebie śmignęła moja kolba w powietrzu, zatrzymując się na twarzy napastnika. Biłem dziwiąc się własnemu impetowi. A tłum ryczał z zadowolenia. Zakolysały mi się twarze w obiegu przychylnym, niby gwiazdy nad padającym w polu. Upadłem. A tłum już nade mną egzekwował rację swego upośledzenia.

Komendant ocenił moją pierwszą pracę w terenie zupełnie negatywnie.

— To i myślałem, żeście wariat — no i rzeczywiście. O mało nie zabiłście człowieka. Wprawdzie to drań i na pewno wróg narodu. Ale tak bez dania racji...

— Było dużo racji.

— Jakże?

— Ludzka, zwierzęca, osobista.

— E, znowu! Mówiłem wam, jesteście zwykłymi żołnierzami. Filozofować będą za was starsi. Pośpieszyliście się. Będziecie teraz inną robili służbę. Wartowniczą. Spokojną.

I znowu opiekę nade mną powierzono szefowi od piekarni. Wystąpił teraz w roli samodzielnego komendanta posterunku. Przenieśliśmy się do cichej osady leśnej. Obecność moja nie dawała spokoju sierżantowi. Tak się zaczął nazywać... Sierżant Józef był zresztą człowiekiem podminowa-

nym psychicznie w sposób zasadniczy. Nie przeszkadzało mu to ani w dobroci, ani w dzielności. Lubił strzelać w powietrze dla dodania sobie powagi. Ale i ten kompleks nie rozbrajał go, kiedy trzeba było działać z wroga władzy materią ludzką. Bał się przede wszystkim właśnie mnie — natury, której nie umiał określić.

— Coście wy za człowiek — mówił — ręce nie do roboty. Polityka będzie potem, teraz trzeba robić porządek. A jak z wami go robić?

Nie lubił wypraw, w których miałem mu towarzyszyć. Najchętniej za wskazaniem komendanta powiatowego stawał mnie na warcie przed posterunkiem. Przyszły więc znowu dni zimna, nudy, uważania. Tyle, że przerywane, co dwie godziny posiłkiem lub gawędą. Las szumiał monotonnie, lub stał w ciszy, od której szumiało w uszach. Uczyłem się przez długi okres czekania — i umiejętność ta przydawała mi się znowu. Żyć o jednym pragnieniu. A raczej obok niego. Czas wyczerpuje się także poza naszą uwagę. Skończy się każda noc, lub zmieni w następną — jeszcze lepiej — li czyć nie trzeba. Szum lasu jest też jakąś opieką. Przeszłość — coż po niej? Była. Wystarczy tylko ta świadomość. Kiedy trzeba działać, człowiek musi być człowiekiem. Poza tym czy rzeczywiście jest aż tak wielka różnica między drzewem, a człowiekiem?

Przyjemne były chwile brzasku — nasilała się w organizmie akcja oczekiwania. Przechodziła zmiana warty. Noc wracała do przeznaczenia. Zaczynał się dzień, który był dla mnie w swym pierwszym kroku: gorącą kawą, rozmową z towarzyszami, niezadowolonym spojrzeniem sierżanta Józefa.

— Co wy za człowiek? Pijecie tę kawę jak likier. Żołnierz powinien być prężny, szybki, żyry.

— W piekarni mówiliście, byłem aż za szybki.

— Nie szybki, a wariacki. Różnica... A i nie myślcie, że sprawa z piekarzem skończona. Wykuruje się, to się będzie mścił.

— Wykuruje się, to go zamknijemy w kozie. Okradal biednych ludzi.

— Znowu, mówię, polityka. To nie do was należy.

Poprawiał pistolet maszynowy i w oparciu o narzędzie, więcej, insygnium władzy, wychodził na inspekcje nieco udobruchany. Na odchodnym mówił mi zgodnie:

— Grunt, żeśmy przetrzymali najgorsze. Samolotów bać się nie trzeba, a strzelać przed się nie sztuka.

W lesie wygarniał sobie partyzancką serię, jakby dla rytmu piosenki, której nie znał. Którą chciał z melodii drzew wyluskać. Tak żyliśmy.

Tak żyliśmy, gdy było możliwe chłodno. Gdy chłód się robił większy wyobraźnia krzepła w głupią, psią skargę. Kilkanaście dni wystarczyło, żeby się skóra wydelikacowała. I już nic w naturze nie mogło sprościć ulgi. Przyroda była wrogiem. Zazdrościło się drzewom bierności. Wspomnienia lżejszych dni przedwczorajszych były realnymi celami tęsknoty. Pewnego takiego dnia na mało uczęszczanej ulicy zjawił się przechodzień. Szedł ważnym krokiem człowieka, kpiącego z mrozu. Miał na sobie dobre futro z kołnierzem karakułowym. I na pewno nie dlatego, żeby zakpić z mego szynela, dreszczami podsytego, spytał:

— Nie zimno panu?

Może ambicja kazała mi odpowiedzieć:

— Specjalnie nie!

Dopiero, kiedy powiedziałem te słowa, poznałem ich niewłaśny dźwięk. Ktoś to kiedyś tak nam powiedział. Nam? Tak, są nareszcie wspomnienia — dawniejsze od dni przedwczorajszych. Znam tego człowieka. Poznałem go w dni bardzo upalne. Broniliśmy Sadyby, malej wysepki, pragnącej połączyć się z ziemią walującą stolicę. Było to w końcu sierpnia. Niemcy wykończyli ulicę po ulicy, systematycznie nie przeszkadzała nagłym okrucieństwom. Pewnego dnia huragan bomb zapalających spadł na szpital powstańczy. Zapaliły się i domy opodal. I nawet ubrania ludzi, kopiących sobie groby w ogrodzie. Zrzucali z siebie wszystko i w panice biegli byle dalej od pożaru... Tak, to właśnie ten człowiek, bardziej zapobiegliwy, niż inni. Zrzucił z siebie palącą się marynarkę, koszulę, krawat — ale wpadł do płonącego domu i wyniósł z niego futro. Gdy zdyszany dopadł wreszcie do naszego schronu, był już bez krawata, ale w karakułach na szyji.

— Te, Witos — spytałyśmy drwiąco — nie gorąco ci?

— Specjalnie nie! — odpowiedział z flegmą. Bo tylko w ruchach był szybki, do tego zmusił go popłoch. Mowę zachował własną. Potem poznaliśmy go blisko. Był miłym, spokojnym kompanem. Bawiliśmy się jego ogólną powściągliwością. Wytrzymał świetnie wszelkie paroksyzmy tłumu. Umiał oddzielić lęk usprawiedliwiony od paniki, wytworzonej tylko wyobraźnią. Gdy nieprzyjaciel otwierał większy ogień artyleryjski, lub lotniczy, ludzie biegli nieprytomnie, popychając jedni drugich do najpewniejszego w okolicy schronu, nad którym opiekę powierzaliśmy właśnie Witosowi, sympatycznemu dla nas człowiekowi bez krawata, ale w futrze. Witos uspokajał panikujących:

— Ludzie, nie pchajcie się, pokolei, strajkujecie starszych. Ludzie — co wy? Panie, co panu?

— Nie! Ratujcie się. Każdy chce się ratować. A pan chciałby zginąć?

Witos pomyślał chwilę i z namysłem jeszcze ważącym się w słowach, odpowiedział:

— Specjalnie nie!

Taki to był człowiek. Czy sprawy ludzkie nasze skończone już z sobą. "ie. Zawolałem.

— Hej, panie, nie przypomina sobie pan? Powstanie na Sadybie...

Spojrzał na mnie uważnie.

— Tak. Owszem. Schron komendy odcinka. Zmienił pan mundur — nie spuszczał ze mnie wzroku. — Zmienił się pan.

— Tak, od tego czasu nie miałem łatwego życia.

— I teraz panu zimno?

— Przede wszystkim.

— Tak. Pamiętam. Mam dobrą pamięć. Umieliśmy się nawzajem podtrzymywać. Jeśli nie czym innym, to dowcipem. Nazywał mnie pan Witosem.

— Teraz cępiełem. Nie ma nic gorszego, jak powoli zamarzać.

— Pewnie. Człowiek — nie woda.

Zbliżał się do nas sierżant.

— Żołnierz na warcie nie wdaje się w pogawędki.

— Znajomy z powstania.

— Znajomy może odwiedzić znajomego po służbie.

— Pewnie. Mieszkamy tutaj przy posterunku.

— Odwiedzę pana.

Odszedł, nie spiesząc się specjalnie.



Pięćdziesięciolecie „l'accuse”

„Opór przeciw uciskowi jest konsekwencją wszystkich innych praw człowieka”. Tym tytułem zaczerpniętym z konstytucji 1793 r. objęty „Les Lettres Francaises” cykl artykułów poświęconych pięćdziesięcioleciu wystąpienia Zoli w sprawie Dreyfusa. Nie od rzeczy będzie przypomnieć w paru słowach przebieg tej sprawy w czasie, kiedy walka postępowej Francji o republikę i demokrację stała się znowu zagadnieniem najwyższej wagi, jednym z czynników bezpieczeństwa i pokoju Europy.

We wrześniu 1894 roku przejęto w sztabie generalnym kartkę zawiadamiającą jednego ze szpiegów niemieckich o wysyśle tajnych dokumentów wojskowych. O autorstwo posadzono kapitana Dreyfusa oficera żydowskiego pochodzenia. Klerykałno - antysemitka i zarazem antyrepublikaniska maszyna poszła w ruch. Zmontowano proces i 22 grudnia trybunał wojskowy skazał Dreyfusa na degradację i dożywotnie zesłanie. Wkrótce potem wyszło na jaw, że autorem kartki był inny oficer sztabu — Esterhazy. Pomimo gwałtownej kampanii prasy „dreyfusardzkiej” — sztab generalny, by uniknąć kompromitacji, postarał się o niewinnienie, wbrew oczywistym dowodom, Esterhazego. Wtedy to, na arenę wystąpił Emil Zola, dotychczas trzymający się zdala od życia politycznego.

Zrazu ogłasza szereg artykułów w „Figaro”, a gdy pismo to zrywa z niewygodnym korespondentem — publikuje w broszurach odezwy do młodzieży francuskiej i liberalnego mieszczaństwa, ostrzegając przed dyktaturą wojskową i reakcją klerykałną. Dziś prześladuje się Żydów, jutro przyjdzie kolej na protestantów i oto kampania zaczęta. Republika jest zalana przez reakcyjnych wszelkiego rodzaju; kochają ją miłością gwałtowną i przerażającą, obejmują — by udusić! Trzecia broszura „List do Feliksa Faure, Prezydenta Republiki” wycofuje z druku i ogłasza w organie Vaughana i Clemenceau — „L'Aurore” pod tytułem „Oskarżam”. Tytuł ten nadał Clemenceau. W liście tym, opublikowanym 13 stycznia 1898 roku, Zola oskarża oba sądy wojskowe o pogwałcenie prawa, o świadome skazanie niewinnego i uwolnienie winnego, a poszczególnych generałów o przyczynienie się do „omyłki sądowej” oraz o „usunięcie dowodów niewinności Dreyfusa”. — „Mam jedyną namietność — pisze w zakończeniu — światło, w imię ludzkości, która tyle cierpiąca i która ma prawo do szczęścia. Mój płomienny protest jest jedynie krzykiem mej duszy. Niech więc prowadzą mnie przed trybunał i niech śledztwo odbędzie się w pełnym świetle dnia. Czekam”.

Nie czekał długo. 18 stycznia minister wojny wnosi oskarżenie, 7 lutego zaczyna się proces. „Wszystko zdaje się być przeciwko mnie — mówił Zola w czasie procesu — obie izby, władze cywilne, władze wojskowe, dzienniki o wielkich nakładach, opinia publiczna, która zatruto. A ja mam za sobą tylko idee, ideał prawdy i sprawiedliwości. I jestem zupełnie spokojny, zwycięzę. Nie chciałem, by kraj mój tkwił w kłamstwie i niesprawiedliwości. Można mnie tu ugodzić. Pewnego dnia Francja podziękuje mi za to, że pomogłem jej ocalić honor”. Przewidywania Zoli okazały się słuszne. 23 lutego zostaje skazany na rok więzienia. Sąd apelacyjny wyrok zatwierdza. By uniknąć aresztowania, za namową przyjaciół udaje się Zola do Anglii, by w razie pomyślnego wyniku rewizji procesu Dreyfusa uzyskać kasację wyroku. Ale Dreyfus ponownie zostaje uznany winnym. Dopiero w r. 1905 sąd rehabilituje Dreyfusa, ale Zola już tego nie doczekał. Zmarł 28 września 1902 r.

Sprawa Dreyfusa, zaogniona wystąpieniem Zoli, podzieliła Francję na dwa wyraźne obozy. Z jednej, „dreyfusardzkiej” strony barykady byli m. in. pisarze: Anatol France, Péguy, Mirbeau, Gide, Proust, z działaczy socjalistycznych: Vaillant, Guerde, Jaurés — zgrupowani wokół „Ligi praw człowieka” założonej nazajutrz po wyroku na Zole; z drugiej: Brunetière, Bourget, Cherbuliez, Petit de Julleville, Faguet z założoną przez Copégo, Lemaitre'a i Barres'a „Ligą ojczyzny francuskiej”, która później przekształciła się w monarchistyczną „Action Française” — oraz umiarkowani socjaliści: Millerand, Viciani, Jourde.

Wynikiem walk „dreyfusardów” była nie tylko rehabilitacja Dreyfusa, ale także: demokratyzacja armii, laicyzacja i demokratyzacja szkoły i rozdział kościoła od państwa.

Pięćdziesięciolecie wystąpienia Zoli przypało w momencie, który czyni przypomnienie go szczególnie aktualnym.

„Co do nas, komunistów — pisze Jacques Duclos w „Les Lettres Francaises” — kontynuujemy tradycję autora „Oskarżam”. Emil Zola oskarżał rządy z 1898 r. o podeptanie praw człowieka i obywatela i o skazanie niewinnego. Dziś także niewinni są w więzieniach, podczas gdy zbrodniarze są na wolności i miliony Francuzów oskarżają grupę rządową o porzucenie zasady niezależności narodowej i o przekształcenie naszego kraju w kolonię ekspansjonistów amerykańskich”.

„Oskarżam” odważnie rzuconemu przed pięćdziesięciu laty przez Zole odpowiada dziś echem „Oskarżam” ludu francuskiego, który chce być panem swoich przeznaczeń we Francji wiernej swej przeszłości w walce o wolność, postęp i niezależność narodową”.

Kandyd

Z NOTATNIKA

A księżyc był po dawnemu pomarszczony i brudny
I był dzień i była noc
jedna latarnia gdzieś się tam jeszcze na świecie świeciła
w knajpie, gdzie nad pustym kieliszkiem zapomniany zasnął jeden jak palec pijaczyna.

I były jeszcze inne dni i noce
o których nikt nic nie pamięta bo wszyscy byli zamroczeni
aż o godzinie szóstej rano minut piętnaście
ptaszek zwany czyżek usiadł Mu na ramieniu
i zatrąbił na małej blaszanej trąbce
którą dostał na św. Mikołaja
zapraszając wszystkich obecnych na Sąd Ostateczny.

LIST

Poezja jest tangensem samotności
dlatego nie martw się żono
kdy czasem odchodzę od Ciebie
aby nie patrzeć przez Twoje dobre oczy
aby patrzeć w Twoje piękne oczy.

Łażę po mieście
pies beżpański
co komu do mnie?
co mnie do kogo?

Samotność to jak niewprawne palcówki
bez końca bez końca
doremifasollasido remi
Wiesz: jak z piętra nad nami.

„Pod zatopioną barką”
piję kawę ze starą
czytam gazety, gram w kości,
patrzę na Madame Bovary
która jest żoną restauratora
i uśmiecha się jak landszaft do gości.

I znowu pójde powalać się
po bruku, którego księżyc jeszcze nie wysrebrzył,
ulica, która jest pięknie czula i pusta,
aby było, wiesz: trochę jak z Utrilla.

I znowu w ciemniejszej willi
zapatrzę się w kwadrat lustra.
W kwadracie lustra jest prostokąt okna
a w oknie stoi wierzba,
ale taka rozgąteliona
w misterną koronkę cienkich witek
czarna w seledynie,
którego różowiejąca promienność nie da się wyspiewać!
Ty wiesz: „toł wieczerną nieskazany świat”.

Spoza koronki i spoza seledyny
Dokądkolwiek bym szedł
Twoje wierne oczy
Niech zawsze czuwają nade mną

Gdy promienną mrocznieję
Twoje oczy jaśnieją,

Polczyn, 31 grudnia 1947 r.

Stefan Otwinowski

RYSZARD MATUSZEWSKI

„Opowiadania przewrotne” Żukrowskiego



Wojciech Żukrowski

NOWA KSIĄZKA Wojciecha Żukrowskiego, choć gatunkowo zupełnie różna od tomu opowiadań „Z kraju milczenia” nie powinna być niespodzianką dla czytelników autora „Lotnej”, zwłaszcza tych, którzy znają również napisany przezeń fantastyczny utwór dla młodzieży pt. „Porwanie w Tioturlistanie”. Wydaje się już dzisiaj rzeczą wyraźną, że konwencja realistyczna jest tylko jedną z dróg i możliwości pisarskich Żukrowskiego. Gdyby nie był najgłębiej przeświadczony o tym, że zasięg pisarskich odstępów od praw rzeczywistości jest w gruncie rzeczy nader niski wobec bogactw, jakie dają pisarzowi wielostronne i różnorodne związki z życiem, — powiedzielibyśmy, że możliwości, jakie ujawnił Żukrowski w zakresie fantazjotwórstwa są nawet większe, bardziej urzekające niż te, które pokazał w opowiadaniach z czasów okupacji. Nie będę tak twierdził zarówno dlatego, że uważam wszelkie fantazjotwórstwo w literaturze za w równej mierze podporządkowane związkom z rzeczywistością, co każdy najbardziej dokumentarny realizm, jak dlatego, że nie wydaje mi się, aby przed Żukrowskim jako „realistą” (używam tu terminu „realizm” w znaczeniu szerokim i tylko w przeciwstawieniu do terminu fantazjotwórstwo) nie rysowały się równie duże perspektywy rozwoju, mimo usterek jego pierwszej książki.

O usterek tych sam swego czasu pisałem, omawiając „Z kraju milczenia” Żukrowskiego, chciałem jednak zaznaczyć, że nie zgadzam się z opinią Stefana Żółkiewskiego, który w toku dyskusji o literaturze określił gatunek jego prozy i prozy Ksawerego Pruszyńskiego, jako wyraz „poetyki drobniomieszczańskiej trywialności”. Zgadzałem się, że biologizm i egzaltacja czynnika naturalnego, o których pisze Żółkiewski cechuje na pewno prozę Żukrowskiego w stopniu najwyższym.

Tego niezwykle silnie uwydatnionego biologizmu nie równoważy odpowiednią postawą intelektualną, psychologia bohaterów w pierwszej jego książce jest naiwna, problematyka moralna nie znajduje oparcia w należyte usprawiedliwiającej ją rysunku społecznego tła wydarzeń. Z tym wszystkim jednak i ze wszystkimi reminiscencjami sarmackich tradycji literackich u autora „Lotnej”, na które sam wskazywałem, nie widzę tu miejsca na ogólny zarzut trywialności czy nawet konwencjonalizmu, przynajmniej w ich powszechnie stosowanym znaczeniu.

Jeśli konwencjonalny jest w książce Żukrowskiego psychologiczny rysunek postaci, to nie konwencjonalna, zwracająca uwagę, niezwykła jest plastyka jego opisów, a jeśli, dając ujście niepohamowanej bujności swych wizji, Żukrowski nie waha się niekiedy sięgnąć po akcesoria trywialności, a nawet sarmackiej sprośności, to nie można zaprzeczyć, że użycie ich usprawiedliwia w dużym stopniu stylizatorska funkcja artystyczna jaką spełniają w jego prozie.

Pisząc to, orientuję się, że wyważam do pewnego stopnia drzwi otwarte, chodzi mi bowiem nie o polemikę z Żółkiewskim, lecz o czytelnika, w którego pojęciu „trywialność” i „konwencjonalizm” mają znaczenie ściśle określone a pojęcie literatury „końsko różańcowej”, którego użył jeden z moich przyjaciół z „Kuźnicy” w którejś z not jest rozumiane po prostu jako impertynencja. Wiem, że jeśli Żółkiewski ostro kwalifikuje prozę jednego z bardziej utalentowanych młodych pisarzy, ma na myśli jedynie to, co zachowując wszelkie należne proporcje, jakie należy zachować przy tym porównaniu pobudzało np. Nałkowskiego i Brzozowskiego do wystąpienia przeciwko Sienkiewiczowi to jest walkę o pewien odmienny gatunkowo typ literatury, nie zaś dyskryminację pisarza, któremu krytyka i opinia nie szczędzi słusznym na ogół pochwał. Wydaje mi się jednak, że w walce tej łatwo jest wylać dziecko razem z kąpielą, a przy personalnym traktowaniu większości polemik literackich w Polsce jest to nawet nieuniknione. Żukrowski nie jest pisarzem skostniałym i już ukoronowa-

wanym przez naród na wieszczą, jakim był autor „Trylogii”, kiedy go atakowano, lecz młodym i niedoświadczonym na razie twórcą o indywidualności jeszcze płynnej i pełnej niespodzianek. Ani jego dotychczasowy dorobek, ani nawet światopogląd nie określają go w takim stopniu, aby można było traktować go uogólniająco, zwalczać jego wady, jako objawy symbolizujące pewien uwarunkowany klasowo typ twórczości, i aby, traktując jego prozę jako określone już zjawisko społeczne, można było nawet w polemice przejść do porządku nad jej wartościami pozytywnymi.

Nowa książka Żukrowskiego, jeśli nawet mimo swej odmienności od poprzedniej, potwierdza większość cech jego talentu, to jednocześnie ujawnia jak bardzo różne mogą być jeszcze przeobrażenia autora opowiadań przewrotnych. Co do powiązań z tradycją „sarmacką”, pokazuje, że ich charakter staje się coraz bardziej skomplikowany przerysowany groteską, pozwala nawet na osławioną „Lotną” spojrzeć wstecz jako na przejaw pewnej, zbyt jeszcze wówczas słabo zaznaczonej stylizacji. Jeśli chodzi o zestawienie z tradycją sienkiewiczowską nie od rzeczy będzie przypomnieć trafną uwagę Stefana Lichańskiego*) o tym, że związki stylistyczne prozy Żukrowskiego wskazują raczej na pokrewieństwo z Żeromskim i ekspresyjną plastyką nowoczesnej liryki, niż z opartą na lacińsko-retorycznych wzorach prozą sienkiewiczowską.

Oczywiście jest to spostrzeżenie par excellence formalistyczne, i jeśli sięgniemy głębiej, zobaczymy, że nastąpiły tu te same charakterystyczne przesunięcia o jakich pisałem z okazji „13 opowieści” Ksawerego Pruszyńskiego, o jakich można byłoby mówić także, analizując twórczość poetycką K. I. Gałczyńskiego. Biologizm prozy o żywych tradycjach naturalistycznych i lirycznej ekspresji Młodej Polski, który służył Żeromskiemu do nonkonformistycznej walki o postępowe ideały społeczne, pomnożony o zdobyte nowoczesnej liryki i dostosowany do wrażliwości dzisiejszego czytelnika, stał się tu zbroją tęgiego rzemiosła dla pisarza o obliczu poprawnie umiarkowanym. Ma bowiem rację Żółkiewski, twierdząc, że Żukrowski, podobnie jak Pruszyński, a dodać możemy tu i Gałczyńskiego, — to pisarze idący na pewno drogami już utowowanymi. Zarówno nie budzący już wątpliwości rewizjonizm Pruszyńskiego, jak niezwykle zjawisko szokującej i pozornie światoburzej, lecz przy tym, w gruncie rzeczy jakże konformistycznej groteski Gałczy-

*) S. Lichański „Między awangardą a tradycjonalizmem” tyg. „Wiesź” Nr. 50 — 51 (78/79) z dn. 22.12.1946 r.

ADOLF SOWIŃSKI

Akademicka powieść o Koperniku

„Kłos Panny” Ludwika Hieronima Morstina*) wykazuje wszelkie cechy książki akademickiej. Ta powieść o Mikołaju Koperniku, która — sądząc z daty figurującej pod przedmową — powstała gdzieś dwadzieścia lat temu, a w wydaniu książkowym ujrzała po raz pierwszy światło dzienne w roku 1930, mało się zestarzała, bo książki akademickie starzeją się wolno, o wiele wolniej niż książki ściśle ze współczesnością związane i panujące rozgłosem nad swoją epoką. Jeżeli „Kłosowi Panny” odejmemy nieco stylu młodopolskiego niektórych partii tej powieści, będzie to książka zupełnie świeża, mądra poza tym i pouczająca, bo nie poszcząca sobie pretensji do wielkich i błyskotliwych koncepcji przyjętej za przedmiot opowiadania epoki i postaci, ale referująca sumiennie, bez hipotez, choć po literacku, a więc z wyraźną ambicją pisarską i epoką i postać w ramach bezspornych już zdobyczy badawczych odnośnej nauki. Książka czarująca akademicka.

Akademickie bywają te książki, które chętniej zajmują się gotowymi wytworami ludzkich rąk i umysłów niż człowiekiem jako zagadnieniem psychologicznym, socjologicznym czy filozoficznym, chętniej, więc mówią o dziełach ludzkich niż o samym człowieku. Objawem akademickości jest rozpatrywanie kultury z punktu widzenia następstwa i ciągłości dzieł, podczas gdy twórcy dzieł unoszą się trochę w powietrzu, coś na wzór owych pięknych twarzy z portretów badanych przez historyka ubiorów.

Tak właśnie oglądamy Kopernika u Morstina, nad książką bowiem panuje dzieło wielkiego astronoma, a on sam jest tylko ozdoba twarzą o rysach konsekwentnie do stylu swego dzieła dostosowanych. Jest głęboko religijny, a nawet w miarę mistyczny, jakim był w rzeczywistości, łatwo wyrzeka się ciech tego świata na rzecz swej nauki, a jeśli raz nawet przyciąga ku sobie dziewczynę z rzymskiej osterii, czyni to tak, jak gdyby był bohaterem pomniejszej sceny mitologicznej. W Rzymie Borgiów widzi Kościół budowany na zbrodni i występku zamiast na

*) Ludwik Hieronim Morstin. „Kłos Panny”, str. VIII, 270 i 2 nrb, okładkę projektowała M. Hiszpańska, Wydanie trzecie, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, Warszawa 1947.

sklego, mają dziś tak ze względu na treści jakie głoszą, jak na formę jaką stosują — zapewnione powodzenie i popularność. Jest to powodzenie i popularność tego samego czytelnika, który w czasie dwudziestolecia czytał poetów „Skamandra”, a więc u czytelnika, który pragnie dobrej, nowej literatury, ale wyobraża ją sobie ukształtowaną według wzorów nowatorstwa, pozostawionych przez epokę poprzednią.

Podobnie atakowanie pruderi jakże świadomie czy mimowoli przeprowadza Żukrowski w „Opowiadaniach przewrotnych” zupełnie analogiczne w społecznym oddziaływaniu do epatowania czytelnika przez Gałczyńskiego jego „Zieloną gęsią” — nie jest w społeczeństwie, którego systemy i hierarchie tradycyjne zburzył wielki dziejowy wstrząs, atakowaniem żadnych niezdobytch fortec. Jest znamienne, że właśnie pisarz manifestujący swój katolicyzm, przemawia językiem, prowokującym Uniechowskiego do frywolnych rysunków, pokazuje, że przynależność do kościoła nie jest równoznaczna z klasztorną ascezą. Obraz ascezy ukazuje przez wydobycie artystycznego kontrastu, zestawiając ją z obrazami renesansowego wykultu życia i pasji. Aprobata twórczości Żukrowskiego w chwili obecnej, przez krytykę katolicką, to niewątpliwie koncesja na rzecz uprawnień kościoła wojującego, a więc tego, który, jeśli trzeba, podkazuje sutannę. Koncesji tych kościół nie czyni nigdy zbyt chętnie, ale uważa je za klapę bezpieczeństwa. Żukrowski lepiej niż autor „Sprzysiężenia” zorientował się, gdzie należy skończyć z żartami, a przede wszystkim obrał dla ujęcia swej pasji pisarskiej formę mniej ryzykowną niż każda postać realizmu.

Pisząc o poprzedniej książce Żukrowskiego podkreśliłem, że autor ten, choć plastyczny sposób widzenia rzeczywistości skłaniał go do wyraźnej opisowej konstrukcji, przełamując w niej niemal zawsze, obierając za motywy przewodnie swych opowiadań zagadnienia moralne.

Do tej samej moralnej problematyki, zawsze chętnie podnoszonej przez krytykę katolicką, pretenduje jej zdaniem przynajmniej część „opowiadań przewrotnych”. Wbrew recenzentom „Tygodnika Powszechnego” i „Dziś i Jutro” twierdziłbym jednak, że nie jest to wcale ich cechą najistotniejszą. Podobnie jak w opowiadaniach okupacyjnych problematyka ta stanowi ich stronę zdecydowanie najsłabszą, tak i tutaj wydaje się jedynie pretekstem, może nawet wewnętrznym, psychologicznym pretekstem dla autora. Istotą tych opowiadań — i tu leżą największe zdobycze prozy Żukrowskiego — są humor, poetyczność, atmosfera zmysłowej baśni, potęga obrazu. Im podporządkowane są zarówno proste schematy jak absurdalne

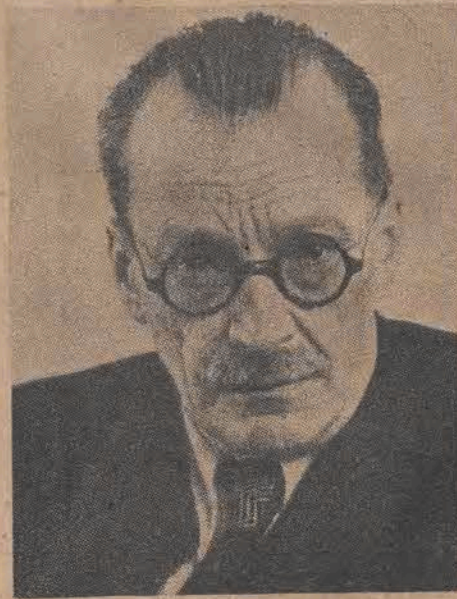
deformacje psychologiczne. Nie o niezawinłą sprawę losu biednego burmistrza chodzi przecież w „Ucieczce”, nie o moralność papieża ani o przyszłość katolicyzmu w „Cytynie”, nie o rewolucję w „Monarchistach”. Zagadnieniowa strona opowiadań jest wąta, rozdmuchiwanie jej wręcz śmieszne. Urzeka natomiast Żukrowski niezwykłym rodzajem humoru, magią słowa, obrazu, jego dziwnością i bogactwem. Duchy Tuwima, Brunona Schulza, Gałczyńskiego, St. Ign. Witkiewicza krąży wokół tej chłonej świat i sycającej się jego niezwykłością groteski. Najwięcej transcendentalnego sensu ma niewątpliwie „Łazarz wskrzeszony”, ale nawet w tej przewrotnej fantazji zostaje on ograniczony przez żartobliwy biologizm zakończenia. Trudno o większe nieporozumienie, niż mierzenie z ciężkich kolubryn sztandarowego katolicyzmu do tych igraszek wyobraźni, szkiełkowanych „piórkiem flaminga”. Przy całym niewątpliwym wdzięku opowiadań przewrotnych zwłaszcza tych, które oparte są o wyraźne reminiscencje literatury romantycznej fantastyki, o opowieści Hoffmana, czy Viliera de l'Isle Adama — uważać je należy niewątpliwie w twórczości Żukrowskiego za tor boczny, za bogaty renesansowy margines.

Na marginesie tym powstały dopiero szkice i wprawki do dzieła, w którym plastyka, bogactwo obrazowania i fantazji autora „Lotnej” użyte zostaną do pozostających w należytej do nich proporcji założeń humanistycznych. Tylko one usprawiedliwią mogą w pełni bogactwo, jakim rozrzutnie raczej nas autor, tylko one mogą oprawie tego dobrego rzemiosła dać należyty sens wewnętrzny.

Te założenia humanistyczne to nie wzniosła alegoria moralnego imperatywu, młodzieńczo doczepiona do nieskomplikowanych sylwetek ludzkich, jak było w „Z kraju milczenia”, ale konkretność życiowych sytuacji, rzeczywistość, żywa współczesna problematyka, do której ujęcia mało kto z młodych pisarzy może przystąpić z takim arsenałem środków pisarskich, co Żukrowski.

Nie sądzę, aby Żukrowski był ugruntowany w złych tradycjach literackich. Myślę, że złą tradycją może się dla niego dopiero stać w przyszłości brak dyscypliny intelektualnej. Zdaje się, że samą fantazją dobre książki pisać można najwyżej do lat trzydziestu, później bezwzględnie rośnie udział intelektu i oszczędnej selekcji. Można jednak żywić nadzieję, że autorowi „Opowiadań przewrotnych” cech tych w jego praktyce pisarskiej nie zabraknie, wbrew figlarnym sugestiom w jakie wyposażył swój fantastyczny autoportret w opowiadaniu „Zona”. Stylizacja „Opowiadań przewrotnych” świadczy w każdym razie, wbrew pozorom, o dążeniu w tym kierunku.

Ryszard Matuszewski



Ludwik Hieronim Morstin

opoce Piotrowej, ale jest karny wobec tego Kościoła i przerywa na żądanie kurii papieskiej swe rewolucyjne wykłady w archigimnazjum, nie chcąc dopuścić, aby jego poglądy były przez obскурantów zrozumiiane „jako ograniczenie możliwości cudów Pana wszechświata i (mogły) służyć nieprzyjaciółom prawdy chrześcijańskiej”. Cały zawarty jest w konsekwencjach moralnych swego wielkiego dzieła „De revolutionibus orbium caelestium”, które z kolei jest w równym stopniu epokowym tworem genialnego matematyka jak hymnem pochwalnym na cześć chrześcijańskiej koncepcji teologicznej. Dobrze będzie, jeżeli dla uzyskania wyjaśniającej analogii w zakresie perspektyw historycznych przypomnimy sobie na tym miejscu fakt, że Karol Darwin, chociaż zburzył mit o stworzeniu człowieka tchnieniem Boskim z mułu ziemi, w swym życiu prywatnym pozostał rygorystycznym purytaninem. Podleganie bowiem tak zwanym demonom swego czasu jest zazwyczaj objawem tego, jak dalece w danej epoce i pod daną szerokością czy dłu-

gością geograficzną dany system metafizyczny zagarnął dla siebie monopol w zakresie wychowawczym. Mało było ludzi o pokroju słynnego językoznawcy Jana Baudouina de Courtenay, który do urzędowego kwestionariusza w rubryce, zapytującej go, jakiego jest wyznania, potrafił wpisać już ponad pięćdziesiąt lat temu: „swojego własnego”.

Powstawanie systemu kopernikańskiego kreśli Morstin na szerokim tle starożytności, wciągając raz po raz do rozważań wyobrażenia kosmologiczne tych najrozmaitszych kultur i narodów basenu Morza Śródziemnego, których porzuczone przez naukę mity astrologiczne działają dziś na nas jak romantyczne cmentarzyska myśli ludzkiej. Za czasów Kopernika wiele z tych wyobrażeń miało jeszcze walor naukowy i nie darmo ratio poetica, czyli argument zaczerpnięty ze starożytnych poetów kosmologicznych i mitologicznych, odgrywała wtedy częstokroć rolę uznanego powszechnie dowodu. W mitologiach zresztą, nie mówiąc już o przednaukowych lub naiwnie naukowych spostrzeżeniach starożytności, mieści się całe mnóstwo wyobrażeń trafnych i dla nauki przydatnych, a tylko zasyfrowanych poezją i poetycką fabułą. Jeżeli bowiem według pojęć starożytnych słońce uchodziło za najpiękniejszą gwiazdę na niebie, a w niejednej religii starożytności (jeśli nie w nich wszystkich) przedstawiało sobą bóstwo nadrzędne, to dla człowieka, który znalazł się na szczęśliwym tropie systemu heliocentrycznego, ten fakt mógł być czymś niestychanie pobudzającym do krytyki systemów nieheliocentrycznych, popartych tylko rzekomymi prawdami Ptolemeusza i zawodnym autorytetem niektórych miejsc Biblii.

W tym właśnie sensie znajdujemy u Morstina wiele pięknych scen i dialogów akademickich, w których z rzadko wśród literatów spotykana erudycją autor, uczeń wspaniałej pamięci profesora Kazimierza Morawskiego i sam *doctissimus antiquarum litterarum aestimator*, rozciąca nam przed oczami przedstawione łatwym językiem powieściowym pojęcia mitologiczne oraz poglądy i systemy kosmologiczne starożytnych myślicieli i poetów jako różną dalekich, ale istotnych przesłanek dla myśli zawartych w dziele Kopernika. Szkoda tylko, że obficie rozsiance po ca-

*) Wojciech Żukrowski. Piórkiem flaminga — czyli opowiadania przewrotne. Wyd. „Awir” Katowice 1948 r.

też książce cytaty łacińskie, słusznie zresztą po większej części tak stylistycznie uwikłane, że czytelnik znajduje tu obok nich przekład polski albo przynajmniej ich skrócony sens, mając fatalną korektę, zniekształcającą tekst łaciński częstokroć do tego stopnia, że jakiś pełen najlepszych nawet chęci laik stanie chyba przed czymś w rodzaju zbyt trudnego rebusu.

Tak więc „Kłos Panny“ jest raczej powieścią o myśli kopernikańskiej niż o Koperniku, samego Kopernika widzimy bowiem częściej jako mędrca niż jako człowieka, a

sceneria fabularna, na tle której występuje, ukazuje się nam jako zespół scen rodzajowych, jak gdyby żywcem zdjętych ze starych obrazów i upozowanych według naszych tradycyjnych wyobrażeń o humanizmie. Po scenie powieściowej chodzą ludzie — monumenty, a jeśli czasem wypadnie im sięgnąć po słowa lub gesty grube, „Ars amatoria“ Owidiusza i wtrona antyčność renesansu nadaje ich postępowaniu bagatelizujący charakter poezji. Gest i wypowiedź postaci powieściowej bywa z zasady pretekstem do obszernej cytaty historycznej lub opowieści

o historycznym rodowodzie zjawiska w zakresie jego precedensów literacko-kulturalnych. Epoka jest w tej książce historią po akademicku, ale tym nie mniej przekonująco upoetyzowana. To nie ludzie, a historyczne elementy kultury zachowują się tak, jak gdyby byli bohaterami powieści. Jest w tym wysokiej miary osiągnięcie pisarskie Morstina, że potrafił w ten sposób stworzyć książkę, trzymającą uwagę w napięciu od początku do końca i pełną literackiej świetności.

Adolf Sowiński.

TADEUSZ KUBIK

Tydzień polityczny

NIE WIADOMO, czy zwłoki Mahatmy Ghandiego złożono na stosie drzewa sandałowego razem z jego kożką. Jeśli tak, byłoby to efektywnym ukoronowaniem tej reżyserii dziejowej, która uczyniła z wielkiego Hindusa głównego aktora arcycekkawego dramatu, rozgrywającego się na fantastycznym tle indyjskiego półwyspu.

Koza — to tylko przyczynek do legendy Ghandiego, natomiast Ghandi — polityk łączy się nierozdzielnie z innym, o wiele istotniejszym symbolem — z kołowrotkiem, z którym przez 20 przeszło lat przemierzał Indie wzdłuż i wszerz.

Po pierwszej wojnie światowej, w której nekana przez niemieckie łódzie podwodne, goniąca resztkami sił Wielka Brytania musiała bezradnie przyglądać się błyskawicznemu rozwojowi rodzimego indyjskiego przemysłu, Mahatma Ghandi — syn kasty kupców — zrozumiał, że dla kapitalizmu indyjskiego nadszedł czas wyzwolenia.

W walce z Anglikami zużytkował wszystkie doświadczenia, jakie zdobył w czasie studiów i pobytu w Anglii, przystosował środki walki do mentalności i stosunków indyjskich. W Afryce Południowej poznał siłę biernego oporu, który w wykonaniu indyjskim nie jest wcale gorszą bronią, niż strajk w Europie.

Ghandi znał, doceniał i podziwiał swoich przeciwników, wiedział, że nie zrezygnują łatwo ze złotego indyjskiego jabłka.

Wobec niesłychanego zacofania i rozbitcia Indii rozumiał, że w walce politycznej, nie mówiąc o obojętnej, nie miał zbyt wielkich szans, natomiast mógł propagować bojkot angielskich towarów. Dlatego kołowrotek, prymitywny warsztat włókienniczy, pozwalał nie tylko na wytworzenie takiej tkaniny, w jakiej przez całe życie chodził Ghandi, ale przyczyniał się do samowystarczalności Indii, 100 milionów kołowrotek — to bojkot angielskich towarów — to ochrona przed zniszczeniem rodzącego się przemysłu indyjskiego przez potężnego angielskiego konkurenta.

Kołowrotek — to nie tylko symbol walki, to — narzędzie walki.

Niesłychaną przeszkodą w tej rozprawie z angielskim kapitalizmem były przeciwnictwa narodowościowe i fanatyzm religijny mieszkańców Indii, podsypane w machiawelski sposób przez Anglików.

Ghandi włożył ogromny wysiłek w łagodzenie tych przeciwnictw, wykorzystując swój niesłychany autorytet moralny. Podał rękę 30 milionom pariasów, przewidując, że w dalszym stadium rozwoju kapitalistycznych Indii ta grupa najbardziej wyzyskiwanych i pogardzanych może stać się siłą rewolucyjną.

Wielki Hindus padł od kuli mordercy w chwili, gdy coraz słabszy, rozpaczliwie broniący swych pozycji imperializm angielski zaczął ponosić klęski w walce z kapitalizmem indyjskim, którego Ghandi był mądrym, przewidującym wyrazicielem.

Jego śmierć nie była przypadkowa, była konsekwencją walki o ekonomiczny rozwój Indii, która w warunkach tamtejszego zacofania była walką o postęp.

Specyficzne indyjskie warunki sprawiły, że Ghandi nie stał się Jerzym Washingtonem, a pozostał dziwnym, chudym starcem z kożką i... kołowrotkiem...

II.

Jeżeli w r. 1946—1947 byli tacy naiwni, którzy wierzyli, że rezolucja ONZ potępiająca reżim gen. Franco, zostanie kiedykolwiek zrealizowana, to teraz przekonali się, chyba, że frazesy „demokratycznego“ Zachodu, a praktyka dnia codziennego to dwie zupełnie różne rzeczy.

Truman nakazuje, by Schuman rzucił się w ramiona gen. Franco i już otwiera się szlaban graniczny w Pirenejach.

Jeżeli byli tacy naiwni (a należała do nich, niestety, część prasy polskiej, która w wielkich tytułach donosiła o oporze państw skandynawskich przeciw planom Marshall—Bevin), którzy szadzili, że przeciwnictwa i sprzeczności kapitalistycznego świata uniemożliwiają włączenie i tych państw burżuazyjnych do anglosaskiej partii, to przekonali się, że tajny układ wojskowy między państwami skandynawskimi a Anglosasami, musi rozwiązać wszelkie wątpliwości. Prasa donosi, że państwa Beneluxu jeszcze nie odpowiedziały na propozycję przystąpienia do „bloku zachodniego“. Możemy być pewni, że odpowiedzą — „tak“.

Bo i w USA i w Szwecji, w Anglii i Hiszpanii władzę dzierżą kapitaliści, bo i w Anglii i Dani socjaliści nie są socjalistami, a parlamenty nie są przedstawicielami narodów.

Narody nie chcą faszyzmu, nie chcą „bloków“, ale chcą go kapitaliści i politycy pokój Bluma.

I milio protestów ludu Francji i ludu Włoch, „Blok Zachodni“ staje się faktem.

Powstał nie jako odpowiedź na „komunistyczne niebezpieczeństwo“, ale jako akt rozpaczy umierającego naturalną śmiercią kapitalizmu światowego.

Mimo groźby „wojny nerwów“ i prowokacji wojennych, nie wiadomo, czy bardziej smuci się, że upiór faszyzmu straszny będzie robotników Zachodniej Europy, czy też cieszyć się, że rozkładający się kapitalizm światowy dochodzi do takiego stadium rozwoju, po którym przychodzi śmiertelne wstrząsy i niesławna śmierć w sosie własnych przeciwnictw i sprzeczności.

Tadeusz Kubik.

MARIA JANION

Monografie powieści Jeża...

WSPÓŁCZESNA literatura polska, poszukując w przeszłości swej tradycji literackiej, zwraca się przede wszystkim ku epoce pozytywizmu. Pozycje aktualne ideologicznie i artystycznie odnaleźć można w twórczości postępowych realistów XIX stulecia.

Poszukiwania te mają często tę słabą stronę, że dokonywane są nieco poomacku. Nie zdołano dotychczas należycie zorientować się w randze i wartości w celu zjawisk literackich tej epoki. Skoro nie została ostatecznie rozstrzygnięta sprawa trójcy wielkich powieściopisarzy, skoro do dziś dnia nie bardzo wiemy, co myśleć o Prusie, nie mówiąc już o Orzeszkowej — o ileż trudniej zorientować się w charakterze twórczości pisarzy częściowo zapomnianych, którzy z jakichkolwiek względów stanowią dla historii literatury problem bardziej skomplikowany.

Do pisarzy, ewokowanych dość często w ostatnich czasach, należy Jeż. Podkreśla się nawiasowo postępowość „Pamiętników starającego się“; działacze chłopscy przypominają od czasu do czasu radykalizm ludowy młodego Jeża.

Całość spuścizny literackiej Jeża pozostaje jednak nieznana. Pozycja, zajmowana przez niego w literaturze polskiej — jako pisarza i jako ideologa — jest dotychczas niewyjaśniona. Jest to zresztą zagadnienie bardzo trudne. Dotychczas nie podejmowano zbiorowego wydania dzieł Jeża. Już zestawienie pozycji bibliograficznych sprawiło badaczom trudność. Tak np. Korbut artykuły publicystyczne i felietony podróżnicze Jeża wymienia tylko przykładowo (!). Nikt też prawie nie poznał wszystkich jego powieści. Opinie o nim tworzone są ad hoc — na podstawie znajomości kilku tylko utworów, bez uwzględniania jego charakterystycznej ewolucji ideologicznej. Jeż — urodzony w r. 1824, zmarły w r. 1915 — przeżył w ciągu swego 90 letniego żywota trzy epoki literatury polskiej, dwa powstania, rewolucję 1905 roku i początek wojny światowej. Członek Towarzystwa Demokratycznego staje się pod koniec życia jednym z założycieli Ligi Polskiej, późniejszego Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. Stąd też pozornie pokrewne sobie ideologicznie powieści z różnych epok jego życia nie mogą być traktowane na równi — mają one bowiem zdecydowanie odmienny sens wobec zmiany sytuacji historycznej.

Nie została też dotychczas naświetlona należycie rola Jeża jako rzecznika dążeń wolnościowych południowej Słowianizacji. Jeż wiele lat spędził na Bałkanach organizując konkretną robotę polityczną. Poświęcając wiele prac problematyce życia Słowian bałkańskich, budził poprzez poczytne tłumaczenia swych powieści zainteresowanie ich sprawami wśród francuskiej i angielskiej publiczności literackiej.

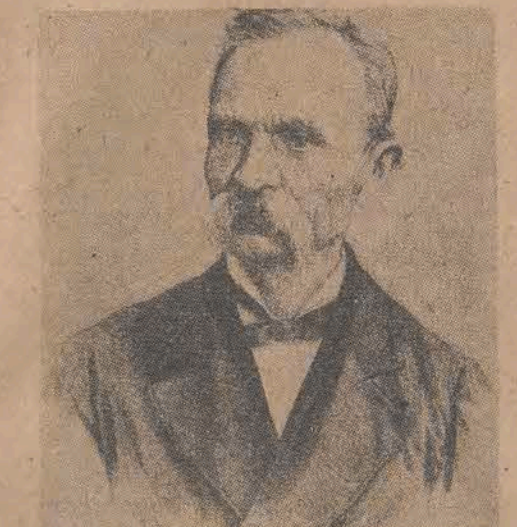
Bez naświetlenia obrazu tej szerokiej i wszechstronnej działalności, bez dokładnego omówienia ogromnej spuścizny literackiej Jeża — nie można powiedzieć o nim nie rozważnie.

Konieczną jest wyczerpująca monografia o Zygmuncie Miłkowskim. Jedyną do dziś poważniejszą i bardziej obszerną pracą poświęconą Jeżowi jest monografia Marii Ostrowskiej, wydana w r. 1936 z zasiłku Ministerstwa W. R. i O. P. Kasy im. Mianowskiego i Funduszu Kultury Narodowej. Monografia ta, powstała pod auspicjami tytułu i tak poważnych instytucji, nie spełnia powyższych zadań. Jest wadliwa pod względem metodycznym, zaś dostarczony przez nią materiał informacyjny nie jest należycie zorganizowany.

Podtytuł monografii brzmi „Życie i twórczość“. Wzajemne relacje między tymi dwoma zagadnieniami monografistyki literackiej ustalone zostały w duchu idealistycznej koncepcji kultury.

Przy kresleniu historii dzieciństwa i młodości Jeża, Ostrowska kładzie nacisk na momenty, które pomogą jej przy rysowaniu „portretu duchowego“, „sylwetki psychicznej“... „małego Zygmunta“. Wysiłek zmierza ku psychologicznemu zaklasyfikowaniu osobowości Jeża, co ma wyjaśnić charakter jego młodzieńczej twórczości (introwertyk). Konsekwentnie unika przy tym autorka jakichkolwiek danych socjologicznych. Nawet z okazji omawiania atmosfery domu Miłkowskich pominięte zostały relacje wiążące ją ze specyficznym radykalizmem pewnych kręgów szlacheckich.

Niejednokrotnie jest to powodem rażącego wykrzywienia proporcji. Niezmiernie ważny etap w życiu Jeża: działalność jego w demokratyczno-liberalnym piśmie kłajowskim „Gwiazda“, kontakty z Worcesterem przez Towarzystwo Demokratyczne — wszystko to zostało zbyt krótko wspomniane, jako widocznie mniej ważne dla genetycznego wyjaśniania jego twórczości, niż „pojęcie ruchliwej



Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż)

imaginacji chłopca“ obrazami bitew i t.p. Nie przypadkowo Ostrowska główny nacisk kładzie na odwołanie do dzieciństwa i młodości Jeża. „Młodość życia jest rzeźbiarką...“; kształtuje zastygłą i nieruchomą strukturę duchową. Obojętne wszystkie rysy, kształtujących „portret duchowy“, „ozłazkiego pulkownika“ wylęca się dokładnie wszystko, co z tzw. „życia“ mogło się przedostać do „twórczości“.

M. Ostrowska jest badaczką sumienną, dlatego, przechodząc do zagadnienia „twórczości“, zareprezentowała skolei warsztat formalisty, aby „uzupełnić“ poprzednie rozważania rozbiorem powieści Jeża ze stanowiska techniki artystycznej. Gdybyż to był przynajmniej uczciwy, konsekwentny formalizm. Niestety, mania klasyfikowania romanów Jeża z punktu widzenia ich cech formalnych oparta jest o absolutną nieporadność w wyborze właściwych kryteriów podziału. Kryteria formalne pomieszane zostały z tematycznymi, a nawet estetycznymi — np. wiadomo w jakim celu wymienia się „sceny, oznaczające się specjalną pięknosciami“.

W dalszej instancji rozbiór polega na wyodrębnianiu motywów i odwoływanie się do tradycji literackiej, celem wytopienia rodzaju — wpływy, wpływy i to wyłącznie literackie. Rzadko z taką ścisłością można zastosować zjadliwe powiedzenie Lempickiego o „szale wpływolecznym“.

Ta wpływoleczność, jako ostateczna instancja wyjaśniająca, doprowadza do fatalnych wykrzywień istotnego stanu rzeczy. I tak np. motyw uwiedzenia dziewczyny wiejskiej przez panicza Ostrowska pięcioletnie wiąże w lańcach dzieł o pokrewnej tematyce, wywodzącej się od Mickiewiczowskiej „Ryb

WANDA GRODZIŃSKA

Przekłady powieści dla młodzieży

Do najmniejszych pozycji w dziedzinie przekładów dla młodzieży należą dwie książki pisarzy rosyjskich: „Dzieciństwo“ Lwa Tołstoja w przekładzie Pawła Hertza (Nakładem Spółdz. Wyd. „Czytelnik“) i „Timur i jego drużyna“ Arkad'ego Gajdara w przekładzie Heleny Jarmolińskiej. (Nakł. Spółdz. Wydawniczej „Czytelnik“).

Każda z tych książek jest charakterystycznym dokumentem epoki, w której powstała. „Dzieciństwo“ Tołstoja maluje obyczajowość wielkiego ziemianstwa z pierwszej połowy XIX wieku. „Timur i jego drużyna“ Gajdara stanowi niejako fragment z życia obywateli Rosji Sowieckiej w okresie II-iej wojny światowej. W obu powieściach bohaterami fabuły są dzieci i młodzież. I porównanie tych tak bardzo odrębnych typów dziecięcych (których psychikę, rozwój umysłowy i fizyczny i świat zainteresowań warunkuje rzeczywistość społeczna i polityczna) pozwala uświadomić sobie przepaść, dzielącą dawną carską Rosję od Republiki Radzieckiej.

Arystokratyczna młodzież z epoki Caratu, otoczona guwernerami żyje w ciepłarnianej atmosferze dworskich przyjęć, zabaw i polewań. Stwarza to przedwczesną dojrzałość, nastroj romantycznego rozmarzenia i czułości wóści. Ale dojrzałość ta jest chorobliwa, plynie z wyobraźni.

Natomiast dzieci w książce Gajdara w surowej szkole życia hartują się fizycznie i duchowo, zdobywają samodzielność i poczują się do odpowiedzialności społecznej na równi z dorosłymi.

Książka Tołstoja odzwierciedla upadającą klasę ziemskich posiadaczy, ich marnotraw-

ki“. Takie postawienie sprawy każe przypuszczać, że Jeż wprowadził ten motyw wyłącznie pod wpływem lektury. Zaniedbana została interpretacja społecznego znaczenia tego motywu, wiążącego się nierozdzielnie z prądami krytyki społecznej XVIII i XIX wieku. Motyw ten stał się konwencją, obowiązującą pisarza-radykała, poruszającego zagadnienie krzywdy społecznej, nie zaś modą ściśle literacką.

Na idealizmie i formalizmie nie wyczerpuje się rejestr metod, jakimi włada autorka. Z okazji rozważań nad historią powieści zareprezentowała nam ona „socjologizm“ — zapewne z gatunku tych „nie zacieśnianych do metody marksistowskiej“. Np. z okazji Dickens banałna wywody o rozwoju przemysłu i kształtowaniu się nowoczesnego mieszczaństwa autorka wykorzystuje dla wyjaśnienia genezy literackiej dickensowskich typów powieściowych, dla zaznaczenia, że nawet z tego płaskiego i niepoetycznego środowiska Dickens potrafi wykrzesać „iskrę rzewności i poezji“. Ostrowska nie umie i nie stara się zresztą wykazać, jakie były istotne związki między powstaniem powieści a rozwojem mieszczaństwa.

Stosownie do konwencji, obowiązującej każdego szanującego się monografistę polskiego, nie zabrakło w książce Ostrowskiej rozdziału „Styl i język“ (20 stron na 600!). W intencjach autorki niesłychane ilości wliczeń tropów i figur stylistycznych, rejestr elementów optycznych czy akustycznych w obrazach poetyckich u Jeża, miały być podporządkowane pewnym usiłowaniom, interpretacyjnym. Ze wzmianki „...w stylu i języku autora maluje się jego indywidualność, właściwości psychiczne i charakter.“ domyślać się należy wyraźnych sympatyj rossiłowski. W praktyce jednak interpretacja taka nie została przeprowadzona i w rezultacie na owe 20 stron składają się przeważnie metrowe wyczerpania niezwykłych osiągnięć Jeżowej onomatopoi („szczęknięcie, powarknięcie, skomlenie...“ itp. itp.).

Oto w najważniejszych zarysach zawartość naukowa monografii. Pomijając demoralizujący eklektycyzm autorki (diletyzizm, rosslerizm, formalizm, socjologizm), przypuszczać należy, że w pamięci żywcłowego, obdarzonego dobrą wolą czytelnika pozostaną — w najlepszym wypadku — streszczenia powieści Jeża, swoimi słowami opowiedziane poglądy „Zygmunta“, jakieś może i słuszne, lecz w gruncie rzeczy prymitywne uwagi o kompozycji powieściowej. Wszystkich natomiast przesładować będzie długo ckiłwie patetyczny a naukowo bezradny język w stylu „wieczorów pod lipą“, jakim pisane jest 600 stron tej potężnej książki.

Taki jest „stan badań nad twórczością Jeża“. Narzuca się tylko jeden konieczny wniosek: monografia o Jeżu jest jeszcze do napisania.

Maria Janion.

stwo, beczynną vegetację i arystokratyczny snobizm. Powieść Gajdara przeciwstawia jej patos dni porowulcyjnych, bohaterstwo człowieka w życiu codziennym i społeczny solidarność.

I dlatego te dwie książki, jakkolwiek biegunowo odrębne należy według mego mniemania dać młodzieży kolejno jako lekturę. Bowiem z klimatu tych powieści najłatwiej można namysłować sobie przełom, jaki dokonał się w Rosji od daty rewolucji. Posiadają one wartość materialistycznego podręcznika historii. Obie powieści są przeniknięte głębokim humanitaryzmem. Ale humanitaryzm Tołstoja jest zjawiskiem wyjątkowym na tle epoki, wyróżnia go jako pisarza i człowieka, zmusza go do negatywnej oceny stosunków panujących podówczas w Rosji. Natomiast humanitaryzm Gajdara — to humanitaryzm społeczności, z której pisarz czerpie wzór i podjęcie do pisanja.

Humanitaryzm Tołstoja jest miarą jego wielkości. Humanitaryzm Gajdara — miarą wielkości narodu rosyjskiego.

Na zakończenie — kilka słów o przekładach. Paweł Hertz, tłumacz Tołstoja i Helena Jarmolińska — tłumaczka Gajdara włożyli maksimum wysiłku, aby przekłady ich nie straciły nic z walorów artystycznych oryginałów. Język obu przekładów bardzo staranny, potoczny, miejscami może nieco zbyt dokładnie usiłujący oddać nastroj książki rosyjskiej. Jakkolwiek zdarzają się drobne potknięcia, nie odbija się to na całości, którą czyta się z przekonaniem, że tłumacze osiągnęli bardzo ważny cel: zachowali rytm wewnętrzny oryginalnych utworów.

Wanda Grodzińska.

JERZY POMIANOWSKI

Prawa czasu i sprawy chwili

O Gogolu i „Rewizorze“ w Teatrze Nowym w Warszawie

POWIESCIOPISARZ i krytyk Wersajew pisze o Gogolu: „Pośród nieciekawych życiorysów literackich biografia Gogola wyróżnia się tym, że jest szczególnie nieciekawa i szara...“ Nic mylniejszego. Materiały do życiorysu Gogola, listy jego, nie mówiąc już o jego utworach, które są najlepszą tego tragicznego żywota ilustracją, czyta się z zapartym tehem i ściśniętym sercem, obserwując, jak walec straszliwej epoki tłumionych powstań i triumfujących żandarmów młodził i kruszył ten wspaniały talent, jak opary obłudy, służalstwa, bigoterii zaczęły jasnowidzący umysł człowieka, który stał się nie tylko ojcem rosyjskiej prozy; — dziś już nie ulega wątpliwości, że bez Gogola literatura europejska byłaby biedniejsza o jednego z najświetniejszych przedstawicieli jej głównego nurtu, odznaczającego się szczególną jasnością i siłą kształtowania świadomości pokoleń. Pozornie ma Wersajew rację. Gogol urodził się na głuchą prowincję ukraińską, na peryferiach imperium rosyjskiego.

O rodzicach jego wiemy tyle, że ojciec miał 200 dusz pańszczyźnianych, a matka nieczym, prócz poczciwości i braku talentów gospodarskich się nie odznaczała. Mikołaj Gogol uczył się miernie, do szkół uczęszczał w podkijowskim Nieżynie, nie bardzo podłym mieście, dotąd jednak znanym raczej jako ojczyzna przedniego jarzębiaka, doskonałych jabłek, oraz ogórków kiszonych, niż jako nowe Ateny. Zresztą, czegoż o tam nie uczyli! Profesor literatury Nikolski, konfiskował uczniom wiersze Byrona i Puszkina, za to całymi tygodniami analizował poemat niejakiego Obodowskiego pt.: „Sierotka Chioski“...

Gogol jako tako kończy gimnazjum, wyrwa się do Petersburga, szuka pracy mozołnie i długo, jest jakimś urzędniczym, nauczycielem, przez krótki okres podrzędny wykładowcą na uniwersytecie, wyjeżdża wreszcie zagranicę, cierpi na stały brak pieniędzy, ima się wszelkich sposobów by zdobyć środki do życia, które nie mu, zdawałoby się, prócz niedostatku, zgrzyot codziennych i stałego gwałtu nad własnym sumieniem nie przynosi. Autor powieści biograficznych zahamby ręce ze zgrozą; w życiu Gogola szukałbyś ze świecą kobiet i romansów. Jedyna historia romantyczna, o której tylko z listów Gogola do matki wiadomo, została po prostu sfingowana, po to, by usprawiedliwić pierwszy i nagły wyjazd zagranicę, za matczyne pieniądze, przysłane marnotrawnemu synowi do Petersburga, celem wykupu zastawionego folwarku... Coraz częściej zapadając na zdrowiu mieszka tygodniami w zamożniejszych przyjacielu, przypykrzając się im swoją mizantropią i ubóstwem. Pół życia przebywa w Włoszech, ale do końca dni swoich źle mówi po włosku; wędruje po Europie, gdzie żyją i działała w tym czasie Stendhal i Heine, Balzac i Merimee, Marks i Proudhon, ale obcuje tylko z garstką rosyjskich globetrotterów. Przykładem jedynie spotyka Sainte-Beuve'a, a czy widział się z Mickiewiczem w Paryżu, jest dotychczas sprawą nie bardzo wyjaśnioną. Wraca do Rosji tylko po to, by umrzeć w 1852 roku, mając lat zaledwie 43, ale będąc już od długiego czasu człowiekiem pozbawionym siły twórczej i radości życia. Dodajmy, że — nie licząc pierwszego nieudanego poematu „Hans Kuchelgarten“ — drukować się zaczął w 1830 roku, a od 1842 roku nie godniejszego uwagi nie napisał. W ciągu tych kilku lat powstały jednak po kolei „Wieczory na futorze opodal Dzikanki“, „Arabski“, „Nos“, „Szynele“, „Taras Bulba“, „Opowieść o tym, jak pokłócił się Iwan Iwanowicz z Iwanem Nikiforowiczem“, „Notatki szalonego“, „Karczatka“ a wreszcie „Rewizor“ i „Martwe dusze“, a więc: rzeczy, które leżą u podwalin wielkiej powieści rosyjskiej wieku XIX, które weszły do bezładnego repertuaru teatru europejskiego, bez których nie byłoby może i Dostojewskiego i Leskova i Czechowa, ba, i całej świetnej satyry rosyjskiej od Sałtykowa-Szczedrina do Ilfa i Pietrowa. Zapamiętajmy: w okresie tej erupcji twórczej Gogol był stałe w towarzystwie Puszkina, który dał nawet schematy akcji „Martwych dusz“ i „Rewizora“ temu dziwnemu powieściopisarzowi, cierpiącemu na notoryczny brak pomysłów fabularnych. Obcował z Bielińskim i jego grupą, z Lermontowem i Hercenem, a więc z najlepszymi ludźmi swego czasu, fanatykami wolności, wrogami samodzierżawia, ludźmi, którzy przeczuli jak się dzieje dzieją, którym przyszłych losów Rosji i świata nie przesłonił złoty orzeł na kirasjerskim kasku imperatora Mikołaja Paikina. Trudno o wymowniejszy przykład szlachliwego wpływu postępowego środowiska literackiego, na pisarza, który wkrótce już miał za wytłamanie się z tego środowiska gorzko odpokutować — właśnie jako artysta. Działo tu niewątpliwie, sformułowane przez Tynianowa, prawo wpływu „szeregów sąsiadujących“ na twórczość literacką, prawo, aż nadto zrozumiałe w świetle marksistowskiej teorii nadbudowy ideowej, akcentując niebezpieczeństwo i specyficzność — acz zależną — charakter procesów kulturalnych. W ciągu tych krótkich lat rozegrał się jeden z najbardziej obfitujących w wypadki dramatów, jakie zna historia literatury. Dramatów? ba, tragedii. Wystarczy wspomnieć, że Gogol, bodajże pięciokrotnie palił rękopisy drugiego tomu „Martwych dusz“ przy czym ostatnią redakcję spalił tuż przed śmiercią. Podobny los spotkał „Order Świętego Włodzimierza Trzeciej Kla-

sy“, „Liturgię“ i mnóstwo dzieł innych, o których wiemy tylko tyle, że trawił nad nimi dni i noce, przepisywał — według swojej zasady — przynajmniej ośmiokrotnie, a po tym palił bez litości. Były to tylko widome ofiary w codziennej, tragicznej walce jaką toczył ten jasny, błyskotliwy talent z dławiącą go epoką. Ofiary, ale nie klęski. Klęską było raczej wydanie „Wybranych urywków z korespondencji“, książki, która stała się początkiem końca w dziejach geniuszu Gogola, książki, z każdego punktu widzenia — wstecznej, pełnej manjackiego religijantwa i kaganja się za grzech napisania... „Rewizora“ i pierwszego tomu „Martwych dusz“. Drugi tom miał być już zupełną ekspiacją. Miał zawierać portrety znanych gubernatorów, humanitarnych żandarmów, uczciwych kupców i ludzkich dzieciaków, podczas gdy tom pierwszy był to — jak pisał Aleksander Hercen: „Okrzyk zgrozy i wstydu, który wydaje człowiek upodlony przez nędzne życie, gdy magle zobaczy w zwierciadle swoją zbydłconą gębę“. Ten właśnie drugi tom spalił Gogol w przededniu śmierci. Czy to klęska? Nie, raczej zwycięstwo świętego artysty i żarliwie uczciwego świadka swoich czasów. Ta historia jest więcej niż pouczająca. Gogol stawał się nieomal automatycznie grafomanem z chwilą gdy świadomie brał się za obronę straconych pozycji ginącego świata. Przykłady Chateaubriand'ów i Mauriac'a pozornie tylko świadczą o istnieniu gdzie indziej innych możliwości. Nazwiska ich ostają się w historii literatury zapewne nie dzięki, a wbrew temu, że próbują oni bronić konsekwentnie swych poglądów orężem racjonalistycznym. Sprzeniewierzając się epoce, Gogol sprzeniewierzał się własnemu talentowi. I nie tu nie znaczy, że „Wybrane urywki“ sam uważał za dzieło nieśmiertelne, a o „Rewizorze“ już w 1838 roku pisze „błogosławiłbym los, gdyby go jakieś mole zjadły“. Tragedii Gogola nie trzeba tłumaczyć chorobą. Wystarczy uświadomić sobie w jakich żył czasach. Na straży Świętego Przymierza stał Mikołaj I, żandarm Europy. Powstania i rewolucje kończyły się klęską lub kompromisem z ciemnicami, stryżki dekabrystów zdążyły już zbutwieć, Łukasiniści siedzieli w

kazamatach, w Paryżu rządili bankierzy, w Rzymie — papież, a Słasy tkaczy jeszcze zwracali swój gniew przeciw maszynom. Cóż, że Gogol żył długo zagranicą, zdala od żandarmów, rewizorów i przekupniów martwych dusz. Był jednocześnie zdala od swego ludu, od którego odgrodziła go nie tylko granica, ale i — przebita za miodu — ściana przesądów klasowych. Ci, co zostali w Rosji, jeden po drugim otwierali oczy i albo ginęli z rąk kata czy najemnego zabójcy — jak dekabryści, Puszkini, Lermontow, albo „wyrzekli się podjętej zgody na podła, rzeczywistość“ jak wielki Bieliński, jak Hercen, Szewczenko, Dobrolubow, Bakunin. Ci, którzy nie mieli dość siły i odwagi, zapłacili za to, że dziś nikt ich imion nie pamięta, bądź, jak Gogol wybierali artystyczne samobójstwo. Czernyszewski pisze o Gogolu: „wszystko zdawało mu się małym i niskim cokolwiek tylko by napisał. Pokażcie mi człowieka z takim pragnieniem doskonałości, a powiem wam: taki nie napisze, albo stworzy coś naprawdę wielkiego — będzie albo Tantal, albo Prometeuszem“. Oto tajemnica Gogola, ten człowiek, obarczony wszystkimi wadami swoich bohaterów, hipokryta, faryzeusz, nieomal że hochsztapler, z lubością podający się (już jako ceniony autor) za jakiegoś „koleżkiego asesora“, gdy był zaledwie „koleżkim rejestratorem“, wyciekający jałmużny od cara, drobny snob prowincjonalny, szukający taski tytułowanych świętoszków, piszący o sobie samym, że „zawarte są w nim wszystkie możliwe świętwa i przy tym w takiej ilości w jakiej nie widział u żadnego człowieka“, ten obłudnik, zmuszony na każdym kroku przez niedostatek do coraz nowych fałszów — był jednocześnie kryształowym czystym artystą, nie strudzonym, nieprzekupnym i zasłużonym w głos wewnętrzny, który mu kazał dawać bezlitosne świadectwo prawdzie. Na tym polega realizm jego utworów, nie zaś na dokładnym kopiowaniu charakterów, stosunków, czy szczegółów obyczajowych. Według opinii Wengierowa, autor „Martwych dusz“ spędził na rosyjskiej prowincji zaledwie czterdzieści kilka dni i to przejazdem z Petersburga do Moskwy i rodzinnej Janówki. Tym niemniej o epoce Mikołaja I więcej wie-

my z „Rewizora“ czy „Martwych dusz“ niż podreżnik historii. Co więcej: śmiech Gogola był pociskiem, który tę epokę ugodził najcelniej. Oto triumf geniuszu. Triumf tym większy, że Gogol nie starał się nawet o kompletowanie dowodów winy, nie kolekcjonował szczegółów, nawet istotnych — dla socjologa. Bałwochwały mechanicznie rozumianego realizmu zarzucał nieraz Gogolowi, że wśród postaci, występujących w „Martwych duszach“ i „Rewizorze“ brak figur tak charakterystycznych dla swojej epoki, jak pijawki skarbowe, żandarm, diaczkiowie itd. Podobnie dziś oskarża się prozaików dramaturgów, pretendujących do tytułu realistów o zapoznanie takich czy innych elementów rzeczywistości. Zabawne to nieporozumienie łatwo wyjaśnić, choćby przez porównanie efektu artystycznego i społecznego „Rewizora“ z quantum elementów tej komedii. Jasne, że zwiększenie sumy realiów mogłoby tylko jej wygłos osłabić.

„Reżyser winien o tym pamiętać; „Rewizor“ jest prototypem współczesnej groteski politycznej, operującej swobodnie metodą generalizacji. Adres tej sztuki jest tak wyraźny, że nie zaszkodzi jej wygranie wszystkich efektów — pozornie absurdalnych, ale znakomicie uwarunkowanych przez wewnętrzną dialektykę komedii. Na tych zasadach właśnie oparte były słynne inscenizacje „Rewizora“ w ZSRR, kiedy to Martinson grał Chlestakowa, a Horodniczego — bodaj, że Igor Iliński. Zadziwia tu świetna robota pisarska, taka korelacja składników, która pozwalałaby błyszczeć każdej drobności, jak przewała wszędzie u Gogola; „Plaszcz“ n. p. nie bez przyczyny był przedmiotem specjalnych studiów morfologów z „Opójazu“ (v. prace Eichenbauma). Nie bacząc na wątpliwość, rzeczy Gogola mają mocny kościć kompozycyjny; to nie tłumni ani ich wygłos społeczny, ani... zainteresowania czytelników. Przeciwnie! Oto twardy orzeszek dla chwalców i absztyfikantów prozy fabularnej, poczytywaj powieści co to ma „i ręce i nogi“.

Gogol wykraczał przeciwko utartym konwencjom — bo czym są „Martwe Dusze“ jeśli nie jedną obelgą, rzuconą nie tylko starej Rosji, ale i ówczesnej, nafiksaturowanej jak wasy żandarmskie, prozie powieściowej — czynił to jednak tylko po to, by stworzyć rygory nowe i bardziej przekonujące. „Rewizor“ napisany jest z wzorową dla tego typu utworów ekonomią środków. Jest przy tym właśnie komedią realistyczną; jeśli termin ten ma posiadać jakikolwiek sens jednoznaczny, to daje się on tu zastosować dzięki temu, że Gogol tylko tyle dbał o sprawy chwili, o ile przejawiały się w nich prawa czasu. Te podpatrzył genialnie. Właśnie dlatego wyrok na Rosję horodniczych, kuratorów i dzierzymordów, ferowany w „Rewizorze“, był tak drugoczący, że figury te potrafiły rozrosnąć się do rozmiarów symbolicznych, nie tracąc z swej plastyczności. Raz jeszcze okazało się, że szacunek dla specyfiki rodzaju artystycznego jest koniecznym warunkiem skuteczności społecznej dzieła sztuki.

Przedstawienie „Rewizora“ w Teatrze Nowym w Warszawie nie może być zaliczone do niemiętych, jednak nie pacy nigdzie zasadniczych tendencji sztuki; jest przy tym na ogół jednolite w ujęciu. Zasługa to Perzanowskiej, nie największa zresztą. Tym bardziej razi teatralna stylizacja roli Chlestakowa, który w interpretacji Tadeusza Cyglera przestaje być absurdalnym chłystkiem, kurkiem na kościele, ucieleśnionym wyrzutem sumienia zgrał prowincjonalnych biurokratów, stając się po prostu petersburskim bon-vivantem, nabył jednoznacznie określony i konwencjonalnie zagranym. Wiele jednak można mu darować za słynną „scenę petersburską“, 35 tysięcy kurierów przez chwilę widomie uganiano się po scenie.

Horodniczy, który jest w „Rewizorze“ działaniem scenicznym głównym przedmiotem, zagraną był przez Chmielewskiego raczej trafnie, z humorem i socyzmie, mało jednak przekonywał w akcie ostatnim, co więcej, po wyjeździe Chlestakowa prawie, że znikł z oczu. Być może — przyczyna tu pojawienie się na scenie monumentalnej figury mądre Chłopotowej. Rzecz w tym, iż grała ją Lucyna Messal. To sporo objaśnia, ale reżysera nie tłumaczy. Bonzowie prowincjonalni grani są poprawnicy, kupcy — nabyły umowne. Jeśli horodniczy gra Łuczycyca więcej niż dobrze, to wykonanie roli jej córki traci epinalem. Mroziński w roli Osipa chwilami bardzo dobry. Z wykonawców ról epizodycznych wyróżnić należy przede wszystkim Friedmana (wyborny kelner!) i Jaraczównę, z temperamentem grającą ślusarzoną.

Kostiumy na ogół dobre, szczególnie Horodniczego, Horodniczy i Horodniczanki. Dekoracje nędzne, a nawet gorzej — bo ni-jakie.

Słów kilka o tekście. Jeśli uprzytomnić sobie, że w „Rewizorze“ odbyło się po raz pierwszy wstąpienie na scenę rosyjską mowy potocznej, że rola tej komedii w dziejach sekularyzacji rosyjskiego języka literackiego jest decydująca, że właśnie język jest najważniejszym środkiem wyrazu i sposobem charakterystyki w tej sztuce, to okaże się, że przekład Juliana Tuwima jest ewenementem, którego analizie wypadłoby poświęcić skrupulatne studium — choćby dla celów pedagogicznych. Tłumaczowi udało się wzorowo pogodzić konieczność pewnej stylizacji z potrzebą uwspółcześnienia nie tylko stylu ogólnego, ale i szeregu idiomatów, nigdzie bodaj przy tym nie wchodząc w konflikt z obowiązkiem wierności wobec oryginału.

KRONIKA RADZIECKA

BIELIŃSKI W ILUSTRACJACH

W maju r. b. Związek Radziecki uświetnił będzie obchód stu lat zgonu Wissariona Bielińskiego (1811—48) znakomitego krytyka i centralnej postaci w rozwoju rosyjskiej myśli społecznej, jak go swego czasu określił Plechanow. Swego rodzaju introdukcję do daty jubileuszowej stanowi otwarta obecnie w „Goslitizdaacie“ moskiewskim wystawa cyklu rysunków artysty radzieckiego Borisa Iwanowicza Lebediewa.

Lebediewowi przyszła myśl stworzyć dokładny życiorys Bielińskiego wyłącznie środkami sztuki graficznej i trzeba przyznać, że pomysł w sposób doskonały został urzeczywistniony. Artysta szczerze i przestudiował całą odnośną literaturę biograficzną i pamiętnikarską, zaznajomił się z topografią oraz ikonografią samego Bielińskiego i całego jego otoczenia współczesnego. W rezultacie tych dociekań powstało z górą 60 rysunków, umiejętnie i z gustem wykonanych. Mamy tu widoki i krajobrazy prowincjonalnego Czembara, gdzie w domu ojca, lekarza wojskowego, upływały lata dzieciństwa i szkolne Bielińskiego, poza tym gubernalna Penza z gmachem gimnazjalnym i Moskwa z jej uniwersytetem, z którego później niezbyt układny student był usunięty, ale gdzie zostały zawarte pierwsze znajomości literackie z poetą Kołcowem, wcześniej zmarłym Mikołajem Stankiewiczem, profesorem Granowskim oraz świetnymi aktorami Szczepkinem i Moczajowem.

W rysunkach dotyczących petersburskiego pobytu Bielińskiego widzimy go w towarzystwie Odojewskiego, Gonczarowa, Turgieniewa, Gogola, Lermontowa, młodego Dostojewskiego, Sałtykowa-Szczedrina, a nawet Bulharyna i kilku innych, a pobyt w Paryżu w roku 1847 przypomina grupę złożoną z Bielińskiego, Aleksandra Hercena z małżonką i Annenkowa.

W zamierzonym wydaniu albumowym rysunki Borisa Lebediewa przyczynią się z pewnością do spopularyzowania Bielińskiego i jego znaczenia dla rosyjskiej kultury literacko-krytycznej.

80-LECIE URODZIN JANA ŻÓLTOWSKIEGO

Świat architektury radzieckiej w Moskwie uroczystą akademią upamiętnił 80-lecie urodzin jednego z najwybitniejszych budowniczych stolicy sowieckiej — członka Akademii Jana Żółtowskiego, twórcy pałacyku, w którym obecnie się mieści Ambasada Republiki Polskiej. Kolega niezapomnianego Stanisława Noakowskiego w Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu, z którym był wielce zaprzyjaźniony, Żółtowski od dawna dzięki swej wyjątkowej kulturze artystycznej, zajmując jedno z czołowych pozycji w architekturze, co też obchód jubileuszowy dobitnie podkreślił.

PODRĘCZNIK „POLSKA I CZECHOSŁOWACJA“

Państwowy Instytut Encyklopedii Sowietkich w Moskwie w serii jeszcze przed wojną podjętych podręczników, a raczej ksiąg informacyjnych („Sprawozdania“), poświęconych poszczególnym państwom, przygotowuje obecnie tom, który w dwóch oddzielnych częściach obejmie Polskę i Czechosłowację. Publikacja będzie miała charakter encyklopedyczny. Będą tu zamieszczone opisy administracyjnego podziału państwa, jego geografii fizycznej oraz ludności, stanu ekonomicznego i historii, ustroju politycznego, prawa, państwa i wychowania narodowego. Dział kultury przyniesie artykuły o literaturze polskiej, języku, sztukach plastycznych i muzyce. Tekst informacyjny dopełnią przeglądy związków kulturalnych obu narodów z Rosją w okresie przed- i porewolucyjnym. P. E.



W. Bieliński i Gogol

rys. Borisa Lebediewa

Jerzy Pomianowski

KAJETAN KOTOWICZ

Kłopoty z Kanadą!

(felieton gospodarczy)

— Warszawiak, jak pragnę zdrowia i nie wie że „Kanada” to znaczy trafonek, rzadka okazja, wybór, tanioccha, wyjątkowość, jednym słowem... — Kanada. Wiech

Trudno dać inne motto, gdy ma się pisać o kraju, którego renowa w Polsce zdawna ustalona, narzuca naszej wyobraźni obraz niezmiernego bogactwa, dobrobytu i poczucia bezpieczeństwa. I w dodatku jeszcze pachnie żywicą, tak rzadką obecnie w przetrzebionej z lasów Europie. Ale Kanada z Wiecha i Arkadego Fidera, to nie jest jeszcze Kanada — cicha i obecna. Nie jest to też kraj tak egzotyczny i w świecie mało znany, żeby nie warto było znać jego kłopotów. Bo mimo niewątpliwego bogactwa i olbrzymich możliwości rozwojowych i ten kraj, który ludźmi warszawski uważa za symbol dobrobytu, przeżywa zaburzenia na tle — dolarowym. Przez kryzys dolarowy, jak przez oszę dziecięcą, przechodzą obecnie najzdrowsze organizmy. Nie oparła się tej chorobie i Kanada.

Brzmi to dość dziwnie dla czytelnika, który jakże niedawno jeszcze czytał w komunikatach prasowych o hojnych pożyczkach, udzielanych przez Kanadę rządowi Anglii i Francji. A jednak faktem jest, że w grudniu 1947 r. parlament kanadyjski rozważał możliwości zastosowania różnorodnych restrykcji celem zaradzenia ostremu deficytowi dolarowemu.

Rozważając obecną sytuację gospodarczą Kanady trzeba pamiętać, że kraj ten, będąc w dalszym ciągu dominium brytyjskim, gospodarczo związał się bardzo mocno z USA. W czasie wojny, na zasadzie t. zw. Hyde Park Agreement, rozwój kanadyjskiej gospodarki wojennej dostosowano całkowicie do planów produkcyjnych amerykańskich w zamian za co USA zobowiązały się nabywać szereg artykułów w Kanadzie. Te więzy finansowo-przemysłowe zacieśnione w czasie wojny, nie łatwo dają się rozluźnić. Polityka kanadyjska musi się więc poważnie liczyć z faktami, które często bywają bardziej uparte niż historia.

Bilans płatniczy Kanady z USA kształtował się z reguły na niekorzyść Kanady. Jedynie lata kiedy było inaczej — 1944 i 1945 — to okres poważnych zakupów pszenicy przez rząd USA i niemożności czynienia poważniejszych kontraktów na terenie Stanów, które wtedy jeszcze utrzymywały wojenną kontrolę swej gospodarki. Wraz ze zniesieniem tej kontroli bilans płatniczy, który w roku 1945 wyniósł 30 milionów dolarów na korzyść Kanady stał się zdecydowanie pasywny. W roku 1947 deficyt Kanady z tytułu bieżących rozliczeń wyniósł o/a 1.200 milionów dolarów. Gwałtowne nasycenie rynku kanadyjskiego, wyglądającego w czasie wojny, towarami amerykańskimi — przy znacznym wroście ich cen, zachwiało dewizową pozycją Kanady. Próby obrony przed wzrostem cen w Ameryce przy pomocy zmiany kursu waluty kanadyjskiej — do lipca 46 r. 1 dolar kanadyjski równał się 90 centom amerykańskim — na al pari pogorszyły tylko sytuację zamiast ją polepszyć. Ceny bowiem amerykańskie skoczyły znacznie powyżej 10 proc., natomiast zmiana relacji spowodowała gwałtowny odpływ kapitałów amerykańskich, ulokowanych w przedsiębiorstwach kanadyjskich.

Podczas gdy w kwietniu 1946 r. kanadyjskie zapasy złota wynosiły 1.667 milionów dolarów w listopadzie 1947 r. zapasy te poważnie stopniały.

Żeby sprostać sytuacji rząd kanadyjski postanowił zmniejszyć import towarów amerykańskich. Nie łatwo jednak program ten wykonać.

Po pierwszej wojnie światowej rząd USA chcąc obronić się przed imigracją Japończyków, uchwalił specjalną ustawę. Nie mógł w niej jednak powiedzieć wyraźnie, że zakaz imigracji dotyczy Japończyków, gdyż byłoby to śmiertelną obrazą wielkiego mocarstwa. Wybrnięto z tej sytuacji w ten sposób, że objęto zakazem imigracji do Stanów ludy mieszkające między takim a takim południkiem. Powodów do obrzydzenia nie było a cel został osiągnięty.

Kanada nie może sobie pozwolić na tego rodzaju grube dowcipy w stosunku do Ameryki. W stosunkach między tymi krajami nie tylko kapitał amerykański stałby temu na przeszkodzie. Ludność Kanady żyje pod urzędem amerykańskiego stylu życia i amerykańskich towarów. Znaczący „Made in England” ma dla Kanadyjczyków coraz mniej siły sugestywnej w porównaniu ze znacznym „Made in USA”.

Nie bez znaczenia jest również fakt — z melancholią podkreślony przez prasę angielską — że rząd kanadyjski nie wiele może zdziałać w kraju, który leży w orbicie wpły-

wów kapitalistycznej Ameryki, gdzie decydują wyłącznie względy na doraźny zysk. Anglicy obronili wprawdzie imperialne preferencje celne w Genewie, co znakomicie ułatwia wymianę handlową kanadyjsko - angielską; Amerykanie zgodzili się nawet na obniżkę własnej taryfy celnej na pewne produkty kanadyjskie od 30 do 50 proc., wprowadzili jednak do wzajemnych stosunków „klauzule niedyskryminacyjne”. Uniemożliwia ona Kanadzie nabywanie gdziekolwiek towarów, których import z USA zostałby wstrzymany. Tym się tłumaczy, że rząd kanadyjski godzi się np. na import niewielkich ilości whisky z USA żeby umożliwić importerom sprowadzenie poważnych ilości whisky angielskiej. Żeby ominąć rygory klauzuli o „niedyskryminacji” ustalono też, że wysokość kwot importowych na pewne towary zależy jest od przedwojennego udziału danego kraju w kanadyjskim imporcie. Umożliwia to między innymi częściej zahamowanie amerykańskiego eksportu tekstyliów, który obecnie mógłby znacznie przekroczyć wyznaczone mu ramy. W ten dyskretny sposób Kanada obchodzi zakazy narzucone jej przez Amerykanów.

Program rządu kanadyjskiego, zmierzający do złagodzenia kryzysu dolarowego, streścić można w kilku punktach („The Economist” 27 XII 47 r.): a) zaciągnięcie pożyczki w wysokości 300 milionów dolarów, b) podróźni wyjeżdżający do USA nie mogą wywieźć więcej niż 150 dolarów, c) kompletny zakaz przywozu szeregu takich artykułów jak radioaparaty, aparaty fotograficzne, niektóre wyroby papierowe, fortepiany, futra, artykuły toaletowe, biżuteria — dotyczy wszystkich, d) jeśli towary wyżej wymienione produkowane są w Kanadzie, lecz przy użyciu poważniejszej ilości surowców, pochodzenia amerykańskiego — nakłada się na nie specjalny podatek o 25 proc. wyższy od normalnego, e) import niektórych towarów ograniczono przez ustalenie kwot importowych, f) import filmów, pewnych metali i artykułów metalowych wymaga specjalnych zezwoleń, g) postanowiono zwiększyć produkcję złota przez wprowadzenie systemu specjalnych dopłat dla producentów.

Srodki te niewątpliwie poprawią kanadyjski bilans płatniczy w dolarach. Zdaniem finansowych kół kanadyjskich uratować sytuację w sposób decydujący może jednak tylko plan Marshalla, który przewiduje zakupy w Kanadzie do wysokości 3.000 milionów dolarów. Chcą więc, jakby powiedział Jarosław Iwaszkiewicz, „Pana Boga przez diabła w duszę ludzką wprowadzić”. Bo indeks kosztów utrzymania (1939 r. = 100) rośnie niestannie od chwili zniesienia kontroli cen. W styczniu 1947 r. wynosił on 127, w listopadzie osiągnął już 143. Indeks detalicznych cen artykułów spożywczych wyniósł w listopadzie 1947 r. — 173. Olbrzymie zakupy w ramach planu Marshalla, przy braku kontroli cen, z którą walczą zaciekłe kanadyjskie „postępowi konserwatyści” musiałby doprowadzić do inflacji. Znaczący byłoby to, że część kosztów kupna Europy Zachodniej przez Amerykanów zapłaciłby kanadyjscy pracownicy najemni.

I jak wówczas bohaterzy felietonów Wiecha będą zachwalać swój towar?

Kajetan Kotowicz.

KONKURS DOMU WOJSKA POLSKIEGO NA PAMIĘTNIKI I WSPOMNIENIA ŻOŁNIERSKIE

Dom Wojska Polskiego, dążąc do upamiętnienia czynu zbrojnego żołnierza polskiego w okresie drugiej wojny światowej i chcąc tym samym dać jak najpełniejszy obraz jego zmagania, rozpisuje konkurs na pamiętniki i wspomnienia żołnierskie z okresu drugiej wojny światowej.

Wspomnienia lub pamiętniki powinny być zaczerpnięte z następujących walk i frontów:

- 1) Walki ochotników polskich w Hiszpanii w latach 1938 — 1939
- 2) Kampania wrześniowa (Westerplatte, Kutno, obrona Warszawy, Kock, Hel i inne).
- 3) Walka podziemna na terenie kraju (zarówno oddziałów leśnych jak i dywersji miejskiej jak np.: partyzantka, akcja odwetowa, Ruch Oporu w obozach koncentracyjnych — Oświęcim i inne). Wspomnienia obrazujące opór społeczeństwa polskiego w okresie okupacji zarówno bierny jak i czynny np.: życie konspiracyjne organizacji wojskowych i ich najcharakterystyczniejsze przejawy: praca tajnej drukarni, kolportaż, szkolenie itp.

4) Droga bojowa Pierwszej i Drugiej Armii Wojska Polskiego (Lenino, Bug, Warszawa, Wał Pomorski, Kolobrzeg, Gdynia i Gdańsk, forsowanie Odry i Nysy, Rozbork, Budziszyn, Drezno, Praga i Berlin).

5) Walka polskich oddziałów wojskowych na zachodzie (Norwegia, Francja w roku 1940 i udział Polaków we francuskim Ruchu Oporu, inwazja, walki w obronie Wielkiej Brytanii, Afryka, Jugosławia, Włochy, Niemcy).

6) Osiągnięcia Odrodzonego Wojska Polskiego w okresie pokoju (akcja odminowania kraju, działalność Wojsk Ochrony Pogranicza, walki z bandami faszystowskimi).

Prace konkursowe należy nadsyłać do dnia 1 maja 1948 roku włącznie.

W konkursie mogą brać udział jedynie uczestnicy drugiej wojny światowej (żołnierze wszystkich frontów, członkowie byłych organizacji podziemnych) oraz oficerowie, podoficerowie i szeregowi pełniący obecnie służbę wojskową. Zastrzega się, iż autorzy prac nadesłanych na konkurs nie mogą być członkami Zw. Zaw. Literatów Polskich ani też członkami Zw. Zaw. Dziennikarzy R. P.

Nagrody. Dom Wojska Polskiego wyznacza następujące nagrody:

I-sza nagroda w wysokości złotych 50.000 (pięćdziesiąt tysięcy).

II-ga nagroda w wysokości złotych 30.000 (trzydzieści tysięcy).

III-cia nagroda w wysokości złotych 20.000 (dwadzieścia tysięcy), oraz 5 (pięć) wyróżnień po złotych 10.000 (dziesięć tysięcy) każde.

Jury konkursu:

Bienkowski Władysław,
Borowy Piotr płk.,
Kirchmayer Jerzy gen. bryg.
Piorkowski Jerzy
Zółkiewski Stefan.

Prace konkursowe powinny zawierać materiał zgodny z prawdą i tym samym dać wiernie odbicie ówczesnej rzeczywistości widzianej oczyma walczącego żołnierza. Pisać należy nie siłając się na literackość.

Jury konkursu zwracać będzie szczególną uwagę na szczerść i autentyczność nadesłanych wspomnień.

Prace nagrodzone w konkursie stają się własnością Domu Wojska Polskiego. Dom W. P. zastrzega sobie prawo dowolnego łączenia i dzielenia nagród jak również zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do zakupu innych nadesłanych na konkurs prac, jak również zużytkowania ich w formie wydawniczej.

Prace konkursowe opatrzone godłem (mazurek albo bardzo wyraźny rękopis) wraz z drugą kopertą zawierającą: imię, nazwisko oraz adres autora należy nadsyłać pod adresem:

Dom Wojska Polskiego, Warszawa, Królewska 13, Wydział Repertuaru i Twórczości Literackiej, z dopiskiem „Konkurs na wspomnienia żołnierskie”.

KSIĄŻKI NADESLANE

Inż. Wincenty Czerwiński: — Poradnik mechanika metalowca dla szkół zawodowych przemysłu metalowego oraz dla pracujących zawodowo w tym przemyśle, nakład. Państw. Zakład. Wydawn., Warszawa, 1947, str. 432 — zł. 400.

Włodzimierz Michajłow: — Rozwój świata organicznego, nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1948, str. 37 — zł. 50.

Przeworska Janina: — Życie ludzi w dawnych wiekach (Podręcznik dla III kl. szk. podst.), wyd. II poprawione, nakładem Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa 1947, str. 143 — zł. 65.

Tymoteusz Karpowicz: — Legendy Pomorskie, nakł. Spółdz. Wydawn. „Polskie pismo i książki”, Szczecin, 1948, str. 193.

Karol Liebelt: — Wybór pism pedagogicznych, oprac. B. Suchodolski, Biblioteka Tekstów Pedagogicznych, nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 58 — zł. 75.

Włodzimierz Zefechowski: — Trzej budziciele polskości na Śląsku, Biblioteka Ziemi Odzyskanych, nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 88 — zł. 100.

Aleksander Lewin: — Antoni Makarenko, czołowy pedagog radziecki, Biblioteka Nauczyciela - Demokracji Nr. 6, nakład. Państw. Zakład. Wydawn. Szkolnych, Warszawa, 1947, str. 50 — zł. 65.

Dr. Stefan Rozmaryn: — U źródeł faszystwu, Fryderyk Nietzsche, nakład. TUR, Warszawa 1947, str. 84.

Ślomeczyński Jan: — Plakat. Idea — budowa — przykłady, nakład. TUR, Warszawa, 1947, str. 30 — 11 tablic.

Ks. Franciszek Sokolowski: — Propaganda polityczna w Grecji w okresie upadku niepodległości, nakład. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa, 1947, str. 91.

Tadeusz Ulewicz: — Świadomość słowiańska Jana Kochanowskiego. Z zagadnień psychiki polskiego renesansu, nakład. Seminarium Historii Literatury Polskiej U. J. Kraków, 1948, str. 198.

Marszałek Montgomery Alamein: — Inwazja na Europę, nakład. wydawn. „Panteon”, Warszawa, 1948, str. 92.

Maria Dąbrowska: — Noce i dnie — wyd. V nakład. Spółdz. Wyd. „Czytelnik” Warszawa, 1947, tom I. Bogumił i Barbara, str. 279 i tom II: Włączenie zmartwień, str. 278.

Stefan Żeromski: — Szyfrowe prace, (Powieść współczesna) nakład. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa, 1947, str. 247.

Stefan Żeromski: — Ludzie bezdomni (Powieść) tom I i II, nakład. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Warszawa 1947, str. 371.

Sir James Jeans: — Podróż w czasie i przestrzeni, wyd. II „Mathesis Polska” dla młodzieży, nakład. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Łódź, 1947, str. 231.

Sir James Jeans: — Wszczęty i Gwiazdy — mgławice — atomy — wyd. II przerobione, Biblioteka „Mathesis Polska”, nakład. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”, Łódź 1947, str. 336.

Kazimierz Zenon Skierski: — Głodne żywioły, nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza” Warszawa, 1948, str. 241.

Adam Próchnicki: — Kobieta w polskim ruchu socjalistycznym, nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1948, str. 77.

Eliza Orzeszkowa: — Nad Niemnem, tom I, II i III, nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa 1947, str. 203.

Adolf Dygasński: — Zając (powieść), nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza” Warszawa, 1947, str. 219.

Prac. Eleonora Słobodnikowa, Ilustracje Ignacy Witz: — Bajki uzbeckie i tadżyckie, nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, str. 115.

Jan Grochowski: — Michał Faraday, jego życie i dzieło 1791—1867, wyd. II nakład. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”, Warszawa, 1947, str. 139.

PRZEGLĄD PRASY

Nie pamiętam już gdzie, kto i kiedy poruszył sprawę dodatków literackich do pism codziennych. Przypuszczam więc pisarza czy dziennikarza, który poruszył tę sprawę pierwszy, że wracam do niej, nie powołując się na jego wywody.

Sprawa dodatków do pism przez wiele miesięcy, a nawet lat była utrapieniem dla pism literackich. Co tydzień w „Odrodzeniu”, „Kuźnicy” czy „Nowinach” pisarze i publicyści starali się rozwiązywać rozmaite trudne sprawy naszego życia literackiego czy teatralnego i jednocześnie co tydzień w rozmaitych pismach codziennych ukazywały się artykuły i wzmianki, często pisane przez osoby mało kompetentne lub bardzo stronniczo oświetlające zagadnienia. Ponieważ przeciętny nakład pisma literackiego nie przewyższa trzydziestu tysięcy, zaś przeciętny nakład pisma codziennego przekracza często sto tysięcy, więc pożyteczna robota ludzi kompetentnych mniej była znana niż szkodliwa praca niekompetentnych.

Z czasem stosunki prasowe ułożyły się nieco lepiej i takie pisma jak „Głos Ludu”, „Łódzki”, „Głos Robotniczy”, „Robotnik” bardzo starannie opracowały swoje działy kulturalne, przerwając je opiece fachowców. Być może nierzadko zdarza się, że kolumny literackie tych pism głoszą nieco odmienne zdania niż pisma literackie, ale w obecnym stanie rzeczy możliwa jest solidna dyskusja, która skłania być może czytelnika prasy codziennej do przewertowania prasy ścisłej literackiej. Myślę, że zadanie dodatków powinno polegać właśnie na tym, by przygotować czytelnika do tej bardziej specjalnej lektury, by informować go stale o ruchu wydawniczym, by wreszcie jawić mu artykuły popularyzujące dzieła literatury klasycznej. Oczywiście powiązanie dodatków z któryś z pism literackich lub szerokie wykorzystywanie przedruków z pism literackich (nawet nie całych artykułów, mogą to być fragmenty odpowiednio skomentowane) wydaje mi się niezbędne dla uniknięcia zbyt rezwatych nożyc między rzekomym „elitaryzmem” prasy literackiej i popularnością dodatków.

Krakowski „Dziennik Literacki” ukazujący się zresztą co tydzień pod redakcją St. W. Balcickiego jest właśnie takim dodatkiem, który się wyemancypował i przemienił z co tygodniowej kolumny w „Dzienniku Polskim” w cotygodniowe cztery kolumny, w oddzielne pismo, ukazujące się w stu tysiącach egzemplarzy po złotych osiem egzemplarz. Jest to więc rekord niskiej ceny i wysokiego nakładu pisma literackiego.

Redakcja prowadzi bardzo rozsądną politykę, starając się co tydzień zapewnić swoim czytelnikom dobrą i pożyteczną lekturę prac współczesnych pisarzy. Pewna część dawnego sztabu redakcyjnego „Odrodzenia” przeniosła się do „Dziennika”. Jaszcz, mój dawny kolega od kroniki prasowej w krakowskim „Dzienniku” prowadzi też rubrykę podobną pod tytułem bardziej fraputującym — „Punkty kontrolne”. Rubryka prowadzona jest sumiennie i nie ogranicza się jedynie do prostego notowania zjawisk literackich w cząsteczkach, ale stara się je oświetlić.

Trudno mi wyliczyć wszystkie interesujące pozycje, jakie znalazłem w 49 numerach „Dziennika”. Należy do nich napewno fragment dramatu Lope de Vega „Owczcze źródło” w przekładzie Morstina. W numerze bieżącym (49) pozycja taka jest fragment z powieści Steinbecka, zaopatrzonej w obszerny komentarz pióra Promińskiego „Najnowsza powieść Steinbecka”.

Przy wszystkich swoich zaletach ma „Dziennik Literacki” również wady, które należy mu wykazać, są one bowiem łatwe do usunięcia. Przede wszystkim zbyt „krakowianizm” pisma Dalej — słaba rubryka satyryczna. Zasadniczy brak widziałbym w złej proporcji prac dotyczących literatury współczesnej i dawnej „Dziennik Literacki” dzięki swojej taniości i popularności mógłby oddać nieocenione usługi w propagandzie czytelnictwa. Nasz rynek wydawniczy powoli wraca do równowagi i prócz książek Meisnera, Fiedlera, Wiecha ukazywały się książki Żeromskiego, Orzeszkowej, Struga, Norwida, Prusa etc. Warto tym pisarzom zrobić solidną reklamę!

TREŚĆ NR. 7:

Adolf Sowiński — Wikary z Wilkołazu; Aleksander Wat — Antyzoil albo rekolacje na zakończenie roku; Stanisław Jerzy Lec — Wiersze; Flora Bieńkowska — W poszukiwaniu Anny; Jules Supervielle — Na ulicy; Henryk Stażewski — Deformacja w plastyce; Andrzej Braun — „Inkluzowe wiano” Mortona; Henryk Wolpe — Młodość nowej Polsce; Witold Kula — Torem i tradycji; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

KOESPONDENCJA

Duch Puszkina

Niedawno ukazała się starannie i pięknie wydana antologia „Dwieście lat poezji rosyjskiej” pod redakcją Mieczysława Jastruna i Seweryna Pollaka. Zarówno redaktorzy antologii, jak i redaktor wydawnictwa dokładali wszelkich starań, aby uniknąć omyłek drukarskich. Na ogół, jak sądzię, powiodło im się i pod tym względem, złośliwy jednak przypadek sprawił, że od czasu ukazania się antologii duch Puszkina straszy mnie po nocach. A to z następujących powodów:

W moim przekładzie Puszkiniowskiego wiersza „Burza” pierwsza zwrotka uległa zniekształceniu. Zwrotka ta powinna brzmieć:

Czyś widział dziewczę gdy na skale
Stanoło w bieli nad falami
I gdy w burzowej nagle mgle
Morze droczyło się z brzegami...

W niektórych egzemplarzach zakradł się również błąd drukarski do mojego przekładu wiersza Majakowskiego „Jubileuszowe”. Na str. 319 powinno być:

Strzeżcie się puszkiniistów!
Staromózgi Puszkini
zardzewiałym piórkiem
zaraz sobie podeprze.
— Patrzcie no,
u lefów
pojawił się
Puszkini...

Otóż w niektórych egzemplarzach Puszkini pojawia się za wcześnie, na miejscu Puszkina, bohatera „Martwych Dusz” Gogola. Na skutek zagubienia litery I następuje drobne nieporozumienie, za które wolałbym nie odpowiadać przed duchem Puszkina. Więc dla spokoju sumienia zgłaszam te sprostowania.

Adam Ważyk (Łódź)

W sprawie wyrazów obcych w słowniku polsko-rosyjskim

W numerze 122-123 „Kuźnicy” ob. Metody Suszkiewicz w notatce p.t. „Sprawa słownika polsko-rosyjskiego” (widocznie należy czytać „rosyjsko-polskiego”) zarzuca mi, że w opracowanym przeze mnie słowniku r o s y j s k o - p o l s k i m za dużo podaje łatwo zrozumiałych dla Polaka słów rosyjskich obcego pochodzenia, natomiast niezwykle mało objaśniam czysto rosyjskich wyrazów. Ob. Suszkiewicz pisze m. in.: „Na literę M autor przytacza około 400 rosyjskich słów. Jakież to są słowa? — malarza, mangan, manufaktura, major, maksimum, maska, marionetka, mgła, mikro, mikroskop, monolog, muza itd., itd. Jest tego ponad 100 wyrazów, czyli przeszło czwarta część! I tak w c a ł y m (podkreślenie moje) słowniku... Rosyjskich natomiast wyrazów ob. Jakubowski tłumaczy niezwykle mało, wbrew zapowiedzi w przedmowie do słownika...”

Zadałem sobie trud skontrolowania statystyki ob. Suszkiewicza. Okazało się, że istotnie na literę M podał w słowniku przeszło 100 (dokładnie 131) wyrazów obcych o brzmieniu podobnym do ich polskich odpowiedników, natomiast przy obliczeniu ogólnej liczby wyrazów na M ob. Suszkiewicz popełnił istotny błąd, jest ich bowiem nie 400, lecz 610, co już zmienia postać rzeczy na moją korzyść.

Ale wiedząc, że na spółgłoskę M zaczyna się szczególnie dużo wyrazów obcych, zaprzagnąłem przekonać się, o ile ścisłym jest twierdzenie ob. Suszkiewicza, że ten sam stosunek liczebny wyrazów obcych do ogólnej liczby zachodzi w całym słowniku. Wybrałem dla próby litery P i S, które łącznie zajmują 98 stron, a więc blisko trzecią część całego słownika. Naliczyłem na literę P 130 wyrazów obcych o brzmieniu podobnym do polskiego na ogólną liczbę ponad 3000 wyrazów, na literę S zaś 75 na ogólną liczbę 1750, czyli w obu wypadkach mniej niż jedną dwudziestą.

Zaznaczam, że przy liczeniu wyrazów obcych uwzględniłem nawet takie, które przy jednakowym lub podobnym rdzeniu mają odmienne przyrostki lub końcówki, np. sabotować — sabotować, premierować — premierować, parad — parada itp.

Daleki jestem od twierdzenia, by mój niewielki słownik (18.000 wyrazów wobec 87.000 zwartych w wielkim słowniku rozumowanym języka rosyjskiego Uszakowa!), był wyczerpującym. Sądzę wszakże, że nie mogłem pominąć w nim częściej używanych, nawet zrozumiałych wyrazów obcych, już chociażby ze względu na potrzebę poinformowania czytelnika o miejscu akcentu. Nie wyobrażam sobie zresztą słownika jakiegokolwiek bądź języka, w którym brakowałoby wyrazów międzynarodowych takich jak: literatura, medycyna, socjalizm, demokracja, jakkolwiek każdy inteligent i tak je rozumie.

Na zakończenie dwie drobne uwagi. Zakwestionowany przez ob. Suszkiewicza — „mangan” — brzmi po rosyjsku zupełnie odmienne „manganiec” a więc chyba nawet z jego punktu widzenia nie podlega ostracyzmowi, a „mgła” nie jest w języku rosyjskim wyrazem obcym. Gdybyśmy i takie wyrazy jak ten ostatni opuszczali, zagrożone byłoby wszystkie wyrazy słowiańskie wspólne obu językom, np. brat, syn, płacz, piug, dom, okno, piwo, kot itd. itd. Czy ob. Suszkiewicz uważa, że należałoby je także pominąć?

Wiktor Jakubowski.

Z a k u p i m y lub pożyczymy egzemplarz powieści

FURMANOWA — CZAPAJEW
w tłumaczeniu J. Putramenta

wyd. Lwów 1940 rok.

Wyd. „Prasa Wojskowa” — Królewska Nr 2

Polityka i samopoczucie

W Nr 2 „Dziś i Jutro”, w notatce p.t. „Przed interesującą rozgrywką”, czytamy m. in.:

„Wallace stojący na czele Ameryki, musiałby prowadzić politykę zmierzającą w podobnym kierunku co Truman... Tak samo jak wybrany na ministra spraw zagranicznych W. Brytanii socjalista(!) Bevin prowadzi politykę swego kraju tak samo, jak robiłby to np. konserwatysta Eden. Te bowiem sprawy są zupełnie niezależne od przedwyborczych zapowiedzi, a wynikają jedynie z rozwoju sytuacji międzynarodowej i aktualnego samopoczucia (podkr. nasze) ludności naszego kraju”.

Styl tych wywodów wprowadził nieco kłopot, ale uwaga na temat związku między polityką a samopoczuciem ludności wydaje się nam całkiem trafna. Bo istotnie samopoczuc-



cie ludności W. Brytanii, ze względu na ciągłe przykrećanie, śruby podatkowej i coraz dotkliwsze ograniczenia żywnościowe, — jest bardzo marne. I dlatego, niewątpliwie, tak kłepska jest polityka p. Bevina. Kto wie jednak, czy twierdzenia tego nie dałoby się odwrócić, a wówczas dopiero tkwiący w nim związek przyczynowy ujawniłby się z całą wyrazistością.

bd.

Głupota czy zła wola

Nieznamy nam bliżej Jerzy Piórkowski w artykule zamieszczonym widocznie przez pomyłkę i niedopatrzeenie w dodatku literackim „Polski Zbrojnej” rzucił kilka ryzykownych uwag o poetach, związanych z „Kuźnicą”. Między innymi pisze p. Piórkowski o tym, że jest to poezja nie mająca żadnego kontaktu z rzeczywistością, że ucieka w kraje mitologii i mieszczańskiego snobizmu”. Szkoda, że p. Piórkowski nie słucha radia, nie czyta łącznych przedruków tej „uciekającej od rzeczywistości” poezji, która zdobyła się jednak na jakiś wyraz dla czasów wojny i okupacji, poezję, która wyszła z Podziemia lub z Armii, poezję drukowaną w prasie konspiracyjnej nie na papierze welinowym i nie na Olimpie.

Szkoda również, że nie wie nic o przekładach tej olimpijskiej poezji na obce języki i o zainteresowaniu, które dla tej poezji wyrażają poeci radzieccy.



Pan Piórkowski ryzykuje powtórzenie, że „W naszych polskich warunkach są to dzisiaj pozycje bliskie oportunistycznym”. Ostrożnie! Radzimy panu nie mówić o oportunistycznym i nie zabierać głosu w sprawach przerażających pańskie umysłowe i moralne kompetencje.

Uwaga ta dotyczy jeszcze innych panów piórkowskich.

rde

Życie Warszawy...

Życie Warszawy jak wiadomo nie jest trudne. Mowa tu oczywiście o piśmie codziennym, które w numerze z dn. 8 lutego 48 roku pozwoliło sobie zaatakować w demagogiczny i niewybredny sposób artykuł Aleksandra Wata „Antyzoil”. Życie Warszawy zamieszcza list nauczyciela szkoły powszechnej (nazwisko i adres znane redakcji „Życia Warszawy”) pełen skarg na niezrozumiałość „Kuźnicy” i na absolutną niemoż-

ność zrozumienia artykułu Wata, używającego takich słów jak np. komunikatywny, symplaczek, paseista etc.

Zwracamy uwagę „Życiu Warszawy”, że zamieszczanie takich listów pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. Pisarze, zwłaszcza gdy dyskutują o sprawach literatury, mają prawo używać takiej terminologii, jaka jest im potrzebna, zaś czytelnicy pism specjalnych,



a niewątpliwie pisma literackie są takimi pismami, powinni orientować się w zagadnieniach na tyle choćby, by wiedzieć, że objętość słownika i zakres pojęć potrzebnych do napisania reporterskiej wzmianki w „Życiu Warszawy” nie wystarczy do napisania literackiego essayu.

Jeśli p. H. J. (nazwisko i adres znane redakcji „Życia Warszawy”) rzeczywiście chce poznać współczesne prądy w literaturze, niechże poświęci czas zamarnowany na pisanie listów do redakcji poważniejszym studiom. Jeśli zaś list p. H. J. pisał ktoś ze współpracowników „Życia Warszawy” to redaktor tego dziennika powinien być zwrócić mu uwagę na szkodliwość takiego demagogicznego ataku. Trzeba się uczyć, wiek przemijał złoty!

rde.

Dwa głosy o poezji

W styczniowym numerze „Twórczości” zwracając uwagę interesującą sprawozdania z wydawnictw poetyckich — Krystyna Kulczkowska pisze o Staffie, jako o „Poezie rozumnego kompromisu”.

„...liryzm Staffa — stwierdza autorka — jest tak mało bezpośredni, że traci niemal związek z twórcą. Jego wiersz to zmonumentalizowane w lirycznej formie stany uczuciowe jak gdyby nicyje, w których autor osiąga wrażenie prawdy artystycznej jedynie przez przybranie odpowiedniej maski. Nie chodzi tu, rzecz oczywista, o psychologiczną stronę tego zjawiska, lecz o jego wyźwięk społeczny i formalny”. „Staff... stał się poetą zgody na rzeczywistość i mieszczańskiego bezpieczeństwa”. Poeta typu Staffa z młodszą generacją poetycką się pogodził, ale dla nowych treści ideologicznych drogi nigdy nie wybił. Bo jest to poezja akompanjamentu, a nie — wezwania”. W artykule „Drugie pokolenie awangardy” na marginesie wierszy T. Różewicza rzuca Stefan Lichański inteligentne i świadczące o doskonałej orientacji w zagadnieniach nowej poezji, uwagi na temat najmłodszej liryki.

„Najmłodszy poeci — pisze krytyk — działają na ogół w bardzo ciasnym zakresie, zarówno jeżeli chodzi o problematykę jak i o środki wyrazu artystycznego. Nie zgłaszają tu żadnych pretensyj ani zarzutów, stwierdzam po prostu fakt... Niebezpieczne jest także zwięźlenie terenu działalności już na samym początku kariery literackiej, wtedy kiedy jeszcze trudno zdać sobie sprawę jaki zakres problematyki i jaki typ artystyczny okaże się najodpowiedniejszy dla danej osobowości pisarskiej...”. W „Niepokoju” (tomik wierszy Różewicza) technicyzmu literackiego jest za wiele. Zjawisko to typowe jest zresztą dla całej najmłodszej poezji polskiej i świadczące o zabrnęciu jej w sytuację wyraźnie impesową. Ciągle jeszcze najaktualniejszym u nas prądem literackim jest formizm. Choć sam ten termin poszedł w zapomnienie, zabawa w układanie efektywnych deseni ze słów trwa nadal i liryka polska stacza się coraz to głębiej w formistyczne prestidigitatorstwo, coraz bardziej prymitywne i naiwne”.

Te dwa głosy krytyczne, wolne od „pretensyj” i urazów, usiłujące dotrzeć do obiektywnych faktów godne są baczonej uwagi. Być może są zapowiedzią, wyjścia krytyki polskiej z nieobowiązujących ogólników i z nadmiernego subiektywizmu. Notujemy je z tym większym zadowoleniem, że „Kuźnica” od dawna toruje drogę sądom krytycznym tego typu.

rde

Zasługi wydawców

Pisałem już przed kilkoma miesiącami o wskrzeszeniu przez Zakład Narodowy imienia Ossolińskich przedwojennego wydawnictwa „Biblioteka Narodowa”. Szkoda, że ta świetna inicjatywa podjęcia popularnej edycji pomników literatury krajowej i obcej spotkała się w prasie literackiej z mniejszym echem niż inne, mniej moim zdaniem, rewelacyjne wydarzenia wydawnicze.

Ostatnim tomem wydanym w roku 1939 była „Młoda Polska” wybór poezji, opracowany przez Tadeusza Boy-Zeleńskiego. Wydanie to zostało zniszczone wskutek działań wojennych — jak to stwierdza notatka wydawnicza — we Lwowie, we wrześniu 1939 roku. Ta doskonała antologia, obejmująca zapomnianą dziś prawie twórczość poetycką, ukazała się obecnie w drugim wydaniu. Trzeba przyznać, że lektura większości utworów zawartych w obszernym tomie Boya, upewnia raczej czytelnika w mniemaniu, że okres „młodopolski” nie był najszcześniejszym okresem naszej poezji. To też z licznie reprezentowanych tu poetów, zaledwie kilku może nas dziś zajmować — Lieder, Lange, Nowaczyński, obaj Brzozowscy, Miciński z którego wybór jest szczupły i nie najlepszy. Mimo wszelkich zastrzeżeń jakie mieć można wobec poezji tego okresu, poznanie jej, zaznajomienie się z jej charakterystycznymi cechami wydaje mi się konieczne dla każdego, kto interesuje się poezją polską.

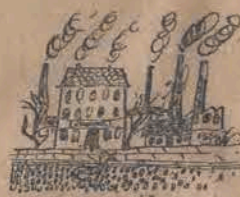
Prospekt załączony do wydanego tomu zapowiada niektóre dawne pozycje w nowych wydaniach oraz niektóre tomy oryginalne, między innymi wybór poezji Książczyna w opracowaniu Borowego, wybór pism Lelewela oraz wybór tekstów kolażajowskiej „Kuźnicy”.

Inicjatywa „Ossolineum” powinna być poświadana z radością przez wszystkich komu leży na sercu sprawa upowszechnienia kultury w Polsce. Klasyczne teksty zaopatrzone w przystępnie napisane przedmowy i objaśnienia bardziej mogą się przyczynić do wykształcenia rozsądnego czytelnika niż dorywcze zamawianie i zaklekanie nad literaturą współczesną.

ph.

Dziwne miasto Łódź...

Dziwne miasto Łódź. W Nr. 31 „Ekspresu Łódzkiego” czytamy: „W Łodzi zwalniają się całe domy. Ostatnio przeprowadziły się do Warszawy... redakcje „Szpilek” i „Kuźnicy” oraz wiele central innych instytucji i organizacji. Instytucje te zajmowały obszerne lokale...” i t. d.



W artykule tym popełniono dwa błędy. Po pierwsze Redakcja „Kuźnicy” przeniosła się nie do Warszawy, ale do Rio de Janeiro. Po drugie redakcja „Kuźnicy” opróżniła nie tylko 3 kamienice przy ul. Piotrkowskiej, ale 1000 ha gruntu ornego, zwolnionego spod przepisów o reformie rolnaj, stajnię zarodową, (wszystko zaczęło się od konia, którego ofiarował nam pewien obywatel z Chicago) i wylegarnię kaczek dziennikarskich, obsługującą wyjątkowo redakcję „Expressu Łódzkiego”.

Dziwne miasto Łódź. Na wniesioną niedawno przez przedstawiciela Zw. Zaw. Literatów Polskich w Miejskiej Radzie Narodowej interpelację w sprawie miejskiej nagrody literackiej nadeszła odpowiedź, że pominięto Łódź na podstawie „statutu nagrody literackiej” uchwalonego w dniu 23 X. 46 ma zamiar nagradzać w każdym roku tylko jedną z wymienionych dziedzin twórczości, a w dziedzinie literatury trzyma się zasady, że nagrodzona ma być tylko „twórczość związana z Łodzią” (jeśli chodzi o plastykę i muzykę, statut mówi szerzej o „twórczości lub działalności”). Pewni obywatele Łodzi, która swego czasu okazała najwięcej gęstości dla pisarzy, nie chcą pojąć, że jeśli na terenie tego drugiego pod względem wielkości miasta w Polsce dokonywa się prac twórczych o zasięgu ogólnopolskim, jest to nie z krzywdą lecz z korzyścią dla miasta. Nie chcą zrozumieć, że racjonalny wkład w całość kultury narodowej to więcej niż hodowla regionalnych wielkości.

rkm.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, zawrątki i soboty od godziny 11 do 13.
 Adres Redakcji: Administracja: ul. Piotrkowska Nr 36 — Telefon 205-42.
 CENA OGŁOSZENIA: Za 1 mm na 1 szpalcie 4 złotych.
 WARUNKI PRENUMERATY:
 miesięcznie zł 80,—; kwartalnie zł 240,—; półrocznie zł 480,—; rocznie zł 960,—.
 Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII-567 „Prenumerata Kuźnicy”.
 D-025017 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, zwirki 2.

KOMUNIKAT

Związek Zawodowy Literatów Polskich oddział w Łodzi i Główna Księgarnia Wojskowa, Łódź, Piotrkowska 47, ogłasza tydzień sprzedaży książek od dnia... — 21. 2. przez autorów. Część dochodów przeznaczona jest na Towarzystwo Przyjaciół Żołnierzy.